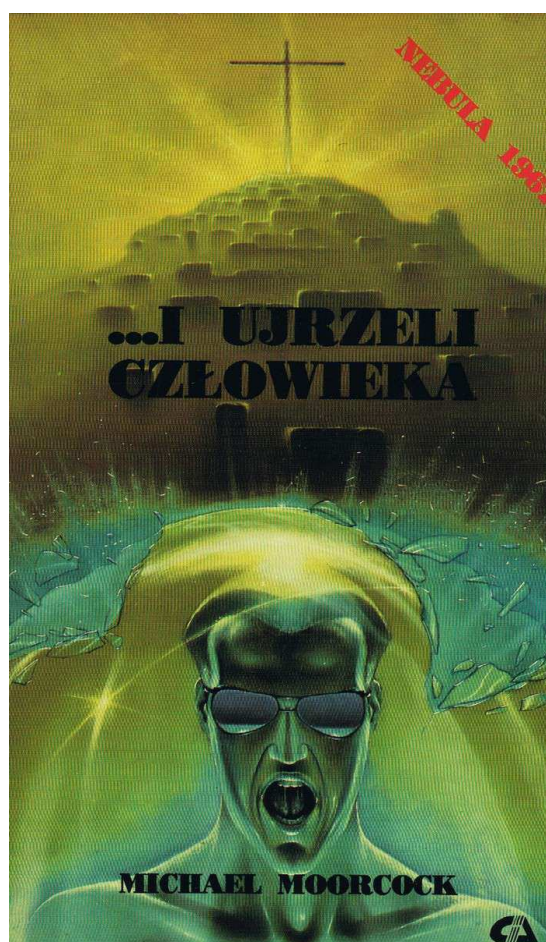


MICHAEL MOORCOCK

...I UJRZELI CZŁOWIEKA

TYTUŁ ORYGINAŁU: BEHOLD THE MAN
PRZEKŁAD: RADOSŁAW KOT



CIA-BOOKS—SVARO, LTD. 1992

...I UJRZELI CZŁOWIEKA to powieść o życiu i męczeńskiej śmierci Karla Glogauera ogarniętego obsesyjną chęcią poznania prawdy o Ukrzyżowaniu. Od swego nieszczęśliwego dzieciństwa całe życie szukał tej prawdy, wiążąc się z najdziwniejszymi sektami religijnymi. Wreszcie, porzucony przez swą „marksistowską” przyjaciółkę, zgłosił się jako ochotnik do udziału w eksperymentalnej podróży w czasie. I po raz pierwszy wydawało mu się, że to on sam pokieruje swoim losem. Przeniesiony ze współczesnego Londynu do Palestyny w 29 rok p.n.e., zrozumiał, jak bardzo się mylił. Znowu poczuł się zagubiony. Kim jest opóźniony w rozwoju młodzieniec wysiadujący pod drzwiami warsztatu cieśli? I kimże jest ta lubieżna czarownica? Krok po kroku Karl Glogauer uświadamia sobie, że to właśnie on powinien wjechać do Jerozolimy na osiołku.

Powstała w 1966 roku nowela Michaela Moorcocka zdobyła już w następnym roku jedną z dwóch najważniejszych nagród SF — Nebula — i szybko została zaliczona do klasyki gatunku. Dotyczy to także poszerzonej wersji tej noweli, wydanej trzy lata później w formie powieści, którą właśnie Państwu przedstawiamy.

Moorcock jest postacią zadziwiającą: urodzony w 1939 roku już jako szesnastolatek był wydawcą „Przygód Tarzana”. Dziś bez wątpienia jest jednym z najbardziej znanych brytyjskich pisarzy SF i F. Napisał około siedemdziesięciu powieści i sporo opowiadań. Oprócz nagrody Nebula otrzymał Nagrodę Pamięci Johna W. Campbella za najlepszą powieść SF, nagrody Word Fantasy, British Fantasy, Augusta Derletha i Guardian Fiction. M. Moorcock jest też znanym wydawcą: w 1964 roku objął redakcję brytyjskiego czasopisma „New Worlds”, w którym propagował pisarzy zaliczanych do awangardy stylistycznej (m.in. J.G. Ballard, B. Aldis, N. Spinrad, H. Ellison, R. Zelazny).

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Maszyna czasu jest kula pełna mlecznego płynu. Odziany w gumowy kombinezon podróżnik unosi się w niej, oddychając przez maskę połączoną przewodem ze ścianą wehikułu.

Kula pękła podczas lądowania, a płyn wycieka na pyliste podłoże, szybko wsiąkając. Wehikuł toczy się i podskakuje na kamieniach tkwiących w jałowej ziemi.

O Jezu! O Boże!

O Jezu! O Boże!

O Jezu! O Boże!

O Jezu! O Boże!

Chryste! Co się ze mną dzieje?

Koniec, przejebane. To kurestwo nie działa.

O Jezu! O Boże! Kiedy ten skurwiel się uspokoi?

Poziom płynu opadł znacznie i Karl Glogauer kurczy się instynktownie. Osiada na plastikowej kuli, która ugina się pod jego ciężarem.

Tajemnicze, niekonwencjonalne instrumenty wehikułu są ciche i nieruchome. Kula zatrzymuje się, kołysze i przetacza jeszcze kawałek; ostatki płynu wykapują ze szczeliny.

Czemu to zrobiłem? Czemu to zrobiłem? Czemu to zrobiłem? Czemu to zrobiłem?
Czemu to zrobiłem? Czemu to zrobiłem?

Glogauer otwiera nagle oczy. Zaraz je zamyka, rozwierając usta jakby ziewał. Język drży, a bolesny jęk przechodzi w zawodzenie.

Słyszy siebie i bezwiednie rozpoznaje ten dźwięk: majaczenie, język nieprzytomnych... Nie wie jednak, co właściwie mówi.

Syk powietrza. Plastikowa wykładzina wiotczeje i ciało podróżnika osiada teraz na twardym metalu. Glogauer milknie, otwiera oczy i spogląda przez pęknięcie na zewnątrz; czyni to jednak bez ciekawości. Usiłuje się poruszyć, ale nic z tego, cały zdrętwiał. Drży, gdy chłodne powietrze napływa do wnętrza maszyny. Wydaje się, że na zewnątrz panuje noc.

Podróż była niełatwa i nawet płyn nie zabezpieczył go całkowicie, bez tej ochrony jednak nigdy nie dotarłby tutaj żywy. I tak prawdopodobnie złamał kilka żeber.

Zaraz po tej refleksji pojawia się ból. Karl stwierdza, że mimo wszystko, może wyprostować ręce i nogi. Zaczyna czołgać się po śliskim plastiku ku pęknięciu. Łapie ciężko powietrze, przystaje, czołga się znowu.

Mdleje. Gdy odzyskuje przytomność, powietrze jest już cieplejsze. Przez szczelinę sączy się blask słońca, widzi lśniące jak stal niebo. Przepycha się do połowy i zamyka oczy, gdy słońce atakuje go z całą siłą. Mdleje ponownie.

Miał wtedy dziewięć lat — urodził się dwa lata po tym, jak jego ojciec zdołał przenieść się z Austrii do Anglii.

Szare szkolne podwórko pełne było zgiełku; dzieci bawiły się i śmiały. Pod ścianami piętrzyły się sterty brudnego lodu, za ogrodzeniem na tle mroźnego, zimowego nieba czerniały ponure budynki Południowego Londynu.

Zabawa zaczęła go wciągać z chwila, gdy Karl wymyślił rolę dla siebie. To miało być ośrodkiem uwagi, w końcu jednak rozplakał się.

— Zdejmijcie mnie! Mervyn, przestań proszę!

Wisiał z rozłożonymi rękami przywiązany do drucianej siatki ogrodzenia, które wygięło się już mocno pod jego ciężarem. Jeden ze słupków mógł w każdej chwili runąć. Karl spróbował uwolnić stopy.

— Zdejmijcie mnie!

Mervyn Williams, rumiany chłopiec, który zaproponował całą zabawę, zaczął trząść słupkiem i Karlem miotało ciężko tam i z powrotem.

— Przestań! Pomocy!

Odpowiedział mu śmiech; jego krzyki tylko dodawały zachęty prześladowcom, zacisnął wtedy zęby. Łzy popłynęły mu po policzkach, czuł się zdradzony, zdezorientowany. Zwykle uważał ich przecież za przyjaciół, niejednemu pomagał w lekcjach, czasem kupował słodycze, współczuł, gdy byli nieszczęśliwi. Przywykł myśleć, że go lubią, nawet podziwiają, a teraz wszyscy obrócili się przeciw niemu, nawet Molly, która nie raz wyznawała mu swoje sekrety. Czemu?

— Proszę! — krzyknął — Tego nie było w umowie!

— Ale już jest! — roześmiał się Mervyn. Twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej, oczy lśniły. Znów szarpnął słupkiem.

Karl znosił to jeszcze przez kilka chwil, potem zwisł, udając zemdlenie. Robił to już nieraz, szantażując matkę, od której nauczył się tej sztuczki.

Krawaty od szkolnych mundurków, którymi go związano, wpiły mu się boleśnie w nadgarstki. Dzieci ucichły.

— Co mu jest? — wyszeptała Molly Turner — Chyba nie umarł, co...?

— Nie bądź głupia — odpowiedział niepewnie Williams — On nas nabiera.

— Tak czy inaczej, lepiej go zdejmijmy — Karl rozpoznał Iana Thompsona — W razie czego dopiero nam się dostanie...

Poczuł, że go odwiązują, nieporadnie szarpiąc więzy palcami.

— Nie mogę sobie z tym poradzić...

— Mam scyzoryk...

— Nie mogę tego przeciąć, to mój krawat, ojciec...

— Pospiesz się, Brian!

Karl zawisł na jednej ręce, oczy miał wciąż zamknięte.

— Daj mi to, przetnę!

Gdy ostatni z węzłów puścił, Karl opadł na kolana, zawahał się, zadrapując je na twardym gruncie i osunął się bezwładnie na ziemię.

— Slimey, on naprawdę...

— Nie bądź głupia. Oddycha. Zemdlał tylko.

Ich zaniepokojone głosy dobiegały do Karla jak z oddali; tak bardzo zaangażował się w rolę, że rzeczywiście niewiele brakowało, by zemdlał.

Williams potrzasnął nim.

— Obudź się, Karl. Przestań nas nabierać.

— Idę po pana Matsona — powiedziała Molly Turner.

— Nie...

— Mam dość tej zabawy.

— Wracaj, Molly!

Karl czuł, jak kamyki wbijają mu się w lewy policzek, na pewno zostawiając tam ślady, nie było to przyjemne, nie przeszkadzało jednak ignorować potrząsających nim rąk, nie zmuszało do otwarcia oczu. Stopniowo tracił poczucie czasu i rzeczywistości i trwał tak aż do chwili, gdy usłyszał nad sobą głęboki, sardoniczny i jak zwykle niewzruszony głos pana Matsona. Głos ten wzbijał się ponad ogólny harmider, a potem zapadła cisza.

— Na jaki genialny pomysł wpadłeś tym razem, Williams?

— Nic takiego sir. To tylko zabawa. Karl sam ja zaproponował, przynajmniej częściowo.

Ciężkie, męskie dłonie odwróciły Karla, mimo to zdołał utrzymać powieki zaciśnięte.

— To on wymyślił te zabawę, sir — powiedział Ian Thompson — W Jezusa. Karl był za Jezusa. Bawiliśmy się już w to kiedyś. Przywiązaliśmy go do ogrodzenia. To był jego pomysł, sir.

— Trochę nierozsądnie — mruknął pan Matson, westchnął i przyłożył dłoń do czoła Karla.

— Ale to była tylko zabawa, sir — powtórzył Mervyn Williams.

Pan Matson sprawdzał puls Karla.

— Powinieneś mieć więcej oleju w głowie, Williams. Glogauer to niezbyt silne dziecko...

— Przykro mi, sir — Williams był bliski płaczu.

— Zabiorę go do pielęgniarki. Módl się, Williams, żeby to nie było nic poważnego. I chciałbym, żebyś po lekcjach przyszedł do pokoju nauczycielskiego.

Karl poczuł, jak pan Matson go podnosi.

Był usatysfakcjonowany.

Niesiono go.

Głowa i tułów bolały tak bardzo, że zbierało mu się na wymioty. Na dodatek nie wiedział, dokąd właściwie zaniósł go wehikuł czasu i nie było najmniejszej szansy, aby to teraz ustalić. Zdołał jedynie wykręcić głowę na tyle, by zerknąć na mężczyznę idącego po jego prawej — był on ubrany w brudny kaftan z owczej skóry i wełnianą przepaskę, co niemal jednoznacznie wskazywało na Środkowy Wschód.

Pierwotnie Karl zamierzał się znaleźć w roku 29, zaś miejscem przeznaczenia miały być pustkowia za Jerozolimą, w pobliżu Betlejem. Czyżby nieśli go właśnie do Jerozolimy?

Nosze, na których go dźwigano sporządzone były ze skór zwierzęcych, a to oznaczało dość odległą przeszłość. Na dodatek skóry były kiepsko wyprawione. Ale, pomyślał, równie dobrze może być inaczej. Dość czasu spędził kiedyś, błakając się wśród małych szczepów Środkowego Wschodu, by wiedzieć, że nadal żyją tam ludzie, którzy nie zmienili swoich obyczajów od czasów Mahometa. Pozostało mu żywić nadzieję, że nie połamał sobie żeber na darmo.

Dwóch mężczyzn dźwigało nosze na ramionach, dwaj inni szli po bokach. Wszyscy byli brodaci, o śniadej cerze, wszyscy nosili sandały. Niemal każdy z nich miał łaskę. Karl czuł zapach ich potu zmieszany z wonią sadła i jeszcze czegoś butwiejącego, czego nie potrafił rozpoznać. Gromadka zmierzała ku odległej jeszcze linii wzgórz. Nikt nie zauważył ocknięcia się Glogauera.

Słońce nie prażyło już tak niemiłosiernie jak w chwili, gdy wydostał się z wehikułu; miało się widocznie ku wieczorowi. Okolica była niegościnna — pustkowia usiane kamieniami w jednym odcieniu szarości; nawet wzgórza w oddali były szare.

Nosze przechyliły się. Karl wykrzywił usta i jęknął; ból popękanych żeber nasilił się i

Karl zemdlął ponownie.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Wychowywany był tak samo jak większość, z wbijaniem do głowy frazesów chrześcijańskich modlitw. Modlitwa co rano w szkole. Dwie modlitwy wieczorem. Jedna to *Ojcze nasz*, druga to *Boże pobłogosław mamę. Boże pobłogosław tatę. Boże pobłogosław siostry moje i braci i wszystkich ludzi dobrych, którzy są wokół mnie. Boże pobłogosław mnie. Amen.* Nauczyła go tego kobieta, która opiekowała się nim w czasie, gdy matka była w pracy. Do tej modlitwy dodał jeszcze listę „podziękowań” (Dzięki za piękny dzień, dzięki za to dobre pytanie z historii...) i „przeprosin” (Przepraszam, że byłem nieuprzejmy wobec Molly Turner, przepraszam, że nie powiedziałem panu Matsonowi prawdy...). Dopiero w wieku siedemnastu lat nauczył się zasypiać bez wszystkich rytualnych modlitw, a kres ich klepaniu położył wreszcie żarliwie uprawiany zwyczaj masturbacji.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Ostatnie wspomnienie o ojcu to czas wakacji spędzanych nad morzem. Miał cztery lub pięć lat. Trwała wojna, pociągi zatłoczone były żołnierzami i zatrzymywały się pod byle semaforem, ciągle trzeba się było przesiadać. Pamiętał, jak przechodzili przez tory na inny peron. Pytał o zawartość przetaczanych w pobliżu wagonów. Żar lał się z nieba, ale co właściwie ojciec mówił? Jakiś żart? Coś o żyrafach?

Karl zapamiętał ojca jako mężczyznę wysokiego, mocno zbudowanego. Głos miał łagodny, może trochę smutny, a w jego oczach zawsze malowała się dziwna melancholia.

Potem dowiedział się, że ojciec i matka postanowili się rozejść i te wakacje nad morzem były ostatnimi, które matka pozwoliła mężowi spędzić z synem. Czy to było w Devon czy w Kornwalii? Urwane obrazy — klify, skały i plaże wydawały się pasować do zachodniego wybrzeża, które widział kiedyś, później, w telewizji.

Bawił się w sadzie, w którym krążyło mnóstwo kotów, a centrum zabawy był stary ford zarosły od wewnątrz trawą. Farma, na której się zatrzymali, pełna była kotów; całe ich stada wypełniały dom, wylegując się na wszystkich krzesłach, stołach i kredensach.

Na plażach leżały zwoje kolczastego drutu, Karlowi jednak nie psuło to scenerii. On miał mosty i posągi wyrzeźbione w skałach przez wiatr i wodę, miał tajemnicze jaskinie, z których spływały strumyki.

Było to jego najwcześniejsze niemal, a na pewno najszcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa.

Nigdy więcej nie ujrzał już ojca.

Boże pobłogosław mamę, Boże pobłogosław tatę...

Jakie to głupie. Nie miał przecież ojca, nie miał żadnych braci ani sióstr.

Stara kobieta wyjaśniła mu, że jego ojciec gdzieś tam żyje i że wszyscy ludzie są braćmi.

Uwierzył jej.

Jestem sam, myślał, całkiem sam. Obudził się i przez chwilę wydawało mu się, że jest w metrze, na stacji Anderson o murach oplecionych drutem, pokrytej rdzawymi blachami. Kryli się tam nocami podczas nalotów. Kochał towarzyszące pobytowi w podziemiu poczucie bezpieczeństwa, a poza tym traktował wszystko jak zabawę.

Jednak głosy, które słyszał, mówiły w obcym języku. Musiała chyba zapaść noc, było bardzo ciemno. Leżał i czuł gorąco. A więc już nigdzie nie szli. Sprawdził, na czym go złożono. Słoma. Musnął palcami suche źdźbła i z nieznanых powodów poczuł ulgę. Zasnął.

Krzyk. Niemiły krzyk.

Matka wrzeszczała na pana George'a. Pan George i jego żona wynajmowali dwa pokoje na tyłach domu.

Karl zawołał matkę na tyle głośno, by usłyszała go na piętrze.

— Mamo! Mamo!

— Co jest? — odkrzyknęła histerycznie.

— Chcę cię zobaczyć!

Chciał, żeby się uspokoiła.

— Co jest, Karl? Widzisz, obudziłeś dziecko!

Pojawiła się na podeście. Dramatycznym gestem wsparła się na poręcz, otuliła się ciasniej szlafrokiem.

— Co się dzieje, mamo?

Zamarła na chwilę, jakby się namyślała, potem powoli stoczyła się ze schodów. Znieruchomiała na wytartym dywanie przy najniższym stopniu. Karl dopadł jej z płaczem i spróbował podnieść za ramiona, ale była dla niego za ciężka.

Ogarnęła go panika.

— Mamusiu!

Pan George zszedł ciężko po schodach.

— Do diabła — powiedział z rezygnacją w głosie. — Greta!

Karl spojrzął na niego.

Pan George popatrzył na Karla i potrząsnął głową.

— W porządku, synu, nic jej nie jest. Dalej, Greta, obudź się!

Karl stanął między panem George'em a matką. Pan George wzruszył ramionami i odepchnął go na bok, potem pochylił się i postawił matkę Karla na nogi. Ciemne włosy opadły jej na piękną, znękaną twarz. Otworzyła oczy i nawet Karl zdumiał się, jak szybko wróciła do przytomności.

— Gdzie jestem? — spytała.

— Daj spokój, Greta. Już wszystko w porządku.

Pan George poprowadził ją z powrotem na piętro.

— A co z Karlem?

— Nie martw się o niego.

Zniknęli.

Dom pogrążył się w ciszy. Karl poszedł do kuchni, w której na rozłożonej desce do prasowania stało żelazko, coś gotowało się na piecyku. To coś nie pachniało zbyt przyjemnie, zapewne pani George zabrała się do robienia obiadu.

Usłyszał, że ktoś schodzi po schodach i uciekł kuchennymi drzwiami do ogrodu.

Płakał. Miał siedem lat.

ROZDZIAŁ DRUGI

A w one dni przyszedł Jan Chrzciciel, każąc na pustyni judzkiej i mówiąc: Opamiętajcie się, albowiem przybliżyło się Królestwo Niebios. Albowiem ten ci to jest, o którym Izajasz prorok mówił, wypowiadając te słowa: Głos wołającego na pustyni: Gotujcie drogę Pańską, prostujcie ścieżki jego. A sam Jan miał odzienie z sierści wielbłądziej i pas skórzany wokół bioder swoich, a za pokarm miał szarańczę i miód leśny. Wtedy wychodziła do niego Jerozolima oraz cała Judea i cała okolica nadjordańska. I byli chrzczeni przezeń w rzece Jordan, wyznając grzechy swoje.

(Mateusz 3: 1 - 6) *

* Wszystkie cytaty z Pisma Świętego za wydaniem Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Warszawa 1986.

Myli go.

Czuł spływającą po nagim ciele zimną wodę. Bardzo zimną. Zdołali jakoś zdjąć z niego kombinezon; prawy bok miał otulony grubym okładem z owczej skóry, przymocowanym skórzanymi rzemieniami.

Bolało mniej, było mu jednak gorąco, czuł się słabo. Nie pojmował do końca, co właściwie się z nim dzieje. Zamieszanie kilku ostatnich tygodni poprzedzających wejście do wehikułu czasu, sama podróż i trawiąca go obecnie gorączka utrudniały myślenie, na dodatek wszystko teraz wyglądało jak dziwny sen. Nadal nie mógł uwierzyć w istnienie wehikułu czasu. A może tylko naszprycował się czymś i jest na haju? Nigdy nie mógł powiedzieć o sobie, żeby zbyt wiele wiązało go z realnym światem i właściwym dla niego odczuwaniem; od różnych klęsk i wynikających stąd katastrof chronił go tylko rozwinięty instynkt. Niemniej, ta leżąca się na niego woda, skóra usztywniająca żebra, słoma pod plecami były bardziej realne niż wszystko, co pamiętał od wczesnego dzieciństwa.

Był w jakimś domu — albo jaskini — mrok uniemożliwiał dokładną orientację. Słoma przesiąknięta już wodą z glinianych dzbanów, którą zlewali go dwaj mężczyźni w sandałach i przepaskach. Jeden nosił ponadto powłóczystą, bawełnianą szatę zarzuconą na ramiona. Obaj mieli długie brody, duże, ciemne oczy i śniadą cerę, obaj wyglądali na Semitów. Ich twarze, nawet gdy na niego spoglądali, pozostawały bez wyrazu. Przerwali mycie i zastygli z dzbankami przytulonymi do owłosionych piersi.

Glogauer znał całkiem dobrze aramejski pisany, nie był jednak pewien, czy potrafi zrozumiale wypowiedzieć się w tym języku. Może lepiej najpierw spróbować angielskiego? Mogło przecież być i tak, że nie przemieścił się w czasie, a wtedy odezwanie się w tej archaicznej mowie do współczesnych Izraelitów czy Arabów mogłoby wzbudzić niejakie podejrzenia.

— Do you speak English? — zabrzmiało to dość słabo.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, a ten w bawełnianej szacie uśmiechnął się, powiedział kilka słów do towarzysza i roześmiał się głośno. Drugi zmarszczył brwi i odpowiedział coś poważnie.

Glogauerowi wydało się, że rozróżnia niektóre słowa i skrzywił się w duchu. Mężczyźni postępowali się dawną odmianą aramejskiego, tego mógł już być pewien, nie wiedział tylko, czy sam zdoła skłecić choć jedno zrozumiałe dla nich zdanie.

Odchrząknął, zwilżył wargi.

— Gdzie... być... to... miejsce?

Obaj mężczyźni zmarszczyli brwi, potrząsnęli głowami i odstawili dzbany na ziemię.

Glogauer czuł, że siły go opuszczają.

— Szukam... Nazareńczyka... Jezusa... — zadał pospiesznie jeszcze jedno pytanie.

— Nazareńczyk, Jezus — powtórzył wyższy z mężczyzn, jakby dźwięki te nic dla niego nie znaczyły i wzruszył ramionami.

Drugi jednak zareagował na słowo „Nazareńczyk”, powtarzając je wolno, z zastanowieniem, odnajdując coś najwyraźniej i kojarząc. Wreszcie mruknął niezrozumiale do towarzysza i zniknął z pola widzenia.

Glogauer spróbował usiąść i gestami nawiązać kontakt z tym, który został, a który spoglądał teraz na obcego z nie skrywanym zdumieniem.

— Który... rok — powiedział wolno Karl — rzymski... imperator... zasiada... w... Rzymie?

Nie było to jednak najszcześliwiej sformułowane pytanie. Chrystus został ukrzyżowany w piętnastym roku rządów Tyberiusza, należało więc skupić się na tym wątku.

— Ile... lat... rządzi... Tyberiusz?

— Tyberiusz! — Mężczyzna zmarszczył brwi.

Glogauer zaczynał z wolna rozpoznawać melodię i akcent tej mowy. Nadeszła pora, by spróbować samemu.

— Tyberiusz. Imperator Rzymian. Ile lat już rządzi?

— Ile? — mężczyzna potrząsnął głową. — Nie wiem.

Nareszcie został zrozumiany. Sześć miesięcy studiowania aramejskiego w British Museum nie poszło na marne. To, czym posługiwano się tutaj, było wprawdzie odmienne i przypominało raczej hebrajski; ostatecznie różnica wynosiła dwa tysiące lat, ale i tak zadziwiająco łatwo udało się porozumieć z tymi ludźmi. Nie tylko to zresztą było zdumiewające, przypomnieli sobie, jak szybko zaczął przyswajać sobie kiedyś zasady i słownictwo tego języka, zupełnie jakby nigdy nie miał gnębiących go od dzieciństwa kłopotów z nauką jakiegokolwiek obcej mowy. Paru co dowcipniejszych przyjaciół sugerowało, że jest to widocznie zasługa dobrze rozwiniętej pamięci rasowej; czasami, z braku innych wyjaśnień, Glogauer sam był gotów w to uwierzyć.

— Gdzie jesteśmy?

Mężczyzna wyglądał na zdziwionego.

— No, na pustkowiach. To pustkowiec za Machareus. Czyżbyś tego nie wiedział?

W czasach biblijnych Machareus było dużym miastem leżącym na południowy wschód od Jerusalemu, po drugiej stronie Morza Martwego. Wzniesiono je u stóp gór wraz ze wsporną fortecą, dziełem Heroda Antypasa. To było to! Przecież w dwudziestym wieku mało kto znał nazwę Machareus, nie mówiąc już o tak praktycznym posługiwaniu się nią.

Nie było już chyba żadnych wątpliwości — trafił do przeszłości, i to za rządów Tyberiusza. Szkoda tylko, że spotkał kompletnego ignorantę, który nie wiedział nawet, kim jest Tyberiusz.

A jeśli się spóźnił? Jeśli jest już po Ukrzyżowaniu?

Jeśli tak, to co robić? Wehikuł nie nadawał się zapewne do naprawy.

Opadł na słomę i zamknął oczy. Znowu ogarnęła go aż za dobrze znajoma depresja.

Po raz pierwszy usiłował popełnić samobójstwo, mając piętnaście lat. Zrobił pętlę ze sznurka, a jego drugi koniec przymocował do haka w ścianie szkolnej szatni. Nałożył pętlę na szyję i zeskoczył z ławki.

Hak nie wytrzymał i wraz z całym plastrem tynku wyleciał ze ściany. Kark bolał Glogauera do wieczora.

Drugi z mężczyzn powrócił, prowadząc ze sobą kogoś jeszcze.

Obaj głośno stukali sandałami po kamieniach.

Glogauer spojrzał na nowo przybyłego.

Był to mężczyzna gigantycznych rozmiarów, poruszający się w mroku jak kot. Miał wielkie, brązowe, świdrujące oczy, ciemno spaloną słońcem skórę, wspaniale umięśnione pod gęstym włosiem ramiona. Wielką, beczkowatą pierś okrywała kozia skóra zwieszająca się aż do ud. W prawej ręce niośł gruby kij spełniający rolę laski. Czarne, kędzierzawe włosy opadały mu na twarz. Przez brodę ledwo dojrzeć można było usta.

Wyglądał na zmęczonego.

Wsparł się na lasce i spoglądał z zamyśleniem na Glogauera.

Ten odwzajemnił spojrzenie, zdumiony rozmiarami przybysza i godnością jego ruchów.

Gdy mężczyzna się odezwał, okazało się, że głos ma niski, mówił jednak zbyt szybko, by Glogauer mógł go zrozumieć.

— Proszę... mów... wolniej — powiedział, kręcąc głową.

Olbrzym przykucnął przy wiązce słomy.

— Kimże jesteś?

Glogauer zawahał się. Nie mógł oczywiście wyznać tu prawdy. Owszem, ułożył sobie

zawczasu odpowiednią historyjkę, okoliczności jednak nie pozwalały jej wykorzystać; nie sądził, że wszystko potoczy się w ten sposób. Miał zamiar wylądować gdzieś na uboczu, nie zauważony i podać się za zmierzającego z Syrii podróżnika. Sądził, że lokalne zróżnicowanie akcentów z powodzeniem ukryje jego kłopoty z posługiwaniem się tutejszą mową.

— Skąd przybywasz? — spytał cierpliwie mężczyzna.

— Z północy — odpowiedział rozważnie Glogauer.

— Z północy. Nie z Egiptu? — popatrzył na Glogauera wyczekująco, niemal z nadzieją.

Karl pomyślał, że skoro wielkoludowi tak na tym zależy, on może przecież zgodzić się i potwierdzić jego przewidywania, a to z kolei w przyszłości pozwoli uniknąć wielu komplikacji

— Egipt opuściłem dwa lata temu.

Olbrzym przytaknął, najwyraźniej usatysfakcjonowany.

— A zatem jesteś z Egiptu. Tak sądziłem. I jesteś bez wątpienia magiem, skoro tak dziwnie się ubierasz i podróżujesz w żelaznym rydwanie ciągnionym przez duchy. Dobrze. Powiedziano mi, że nazywasz się Jezus i jesteś Nazareńczykiem.

Stawało się oczywiste, że pierwsza wymiana zdań zaowocowała pomyłką. Glogauer uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Ja poszukuję Jezusa Nazareńczyka.

Mężczyzna spojrział na niego z naganą.

— A zatem jak się nazywasz?

Nad tym też trzeba było się zastanowić. Jego własne imię brzmiałoby tutaj zbyt obco, nie pasowało do czasów biblijnych, postanowił zatem użyć imienia ojca.

— Emmanuel.

— Emmanuel... — mężczyzna przytaknął, znów zadowolony. Potarł palcem wargi i zapatrzył się w ziemię.

— Emmanuel... tak...

Glogauer był zdumiony; wyglądało na to, że pomyłono go z kimś, kogo ten gigant spodziewał się spotkać, a dotychczasowe pytania upewniły właśnie gospodarza, że oczekiwanie dobiegło kresu. Zastanowił się, czy wybór imienia był odpowiedni do okoliczności, ostatecznie Emmanuel znaczyło w hebrajskim, tyle co „Bóg z nami” i z pewnością miało dla pytającego jakieś znaczenie mistyczne.

Glogauer poczuł się nieswojo. Nasuwało się tyle pytań, tyle rzeczy wymagało ustalenia, na dodatek nie podobała mu się wcale ta enigmatyczna rola, którą nieświadomie zaczął odgrywać. W obecnym stanie nie mógł nigdzie pójść, nie było też wskazane narażanie się gospodarzowi.

Niech tam, przynajmniej ci ludzie nie są wrogo nastawieni. Ale czego właściwie od niego oczekują?

— Musisz postarać się skoncentrować na pracy, Glogauer.

— Marzyciel z ciebie, Glogauer. Łazisz ciągle z głową w chmurach. Teraz...

— Zostaniesz po lekcjach, Glogauer...

— Czemu próbowałeś uciec, Glogauer? Źle ci tutaj? Czemu?

— Musisz postarać się mnie zrozumieć, musisz wyjść mi naprzeciw, jeśli mamy...

— Chyba poproszę twoją matkę, by zabrała cię z tej szkoły...

— Może i próbujesz, ale za słabo. Wiele sobie po tobie obiecywałem, Glogauer, gdy zjawiłeś się tu po raz pierwszy. W ostatnim semestrze radziłeś sobie wspaniale, ale teraz...

— W iluż to szkołach byłeś, zanim przyszedłeś do nas? Co? Wielki Boże!

— Jestem przekonany, że sprowokowano cię do tego, Glogauer, że ktoś sprowadził cię na złą drogę, a zatem nie będę tym razem dla ciebie zbyt surowy...

— Nie patrz tak smutno, synu, na pewno dasz sobie radę, potrafisz przecież.

- Słuchaj mnie, Glogauer. Choć raz uważaj, na miłość boską, choć raz...
- Rozum to ty masz, młody człowieku, żebyś jeszcze wiedział jak go używać...
- Przepraszam? Przepraszam to za mało. Musisz uważać...
- Oczekujemy, że w następnym semestrze bardziej się przyłożysz.

— A jak ty się nazywasz? — spytał Glogauer olbrzyma.

Ten wyprostował się i spojrzał na Glogauera z góry.

— Nie znasz mnie?

Glogauer potrząsnął głową.

— Nie słyszałeś o Janie zwanym Chrzcicielem?

Glogauer usiłował ukryć zaskoczenie, ale Jan zwany Chrzcicielem i tak zauważył, że jego imię jest przybyszowi znajome. Przytaknął.

— Widzę, że słyszałeś o mnie.

Glogauer poczuł wielką ulgę. Zgodnie z *Nowym Testamentem* Chrzciciel został zabity krótko przed ukrzyżowaniem Chrystusa. Ale przecież spośród wszystkich ludzi przede wszystkim Jan powinien słyszeć o Jezusie Nazareńczyku. Czy miałoby to oznaczać, że Chrystus w ogóle nie istniał?

Chrzciciel przeczesał brodę palcami.

— A teraz, magu, musimy podjąć decyzję.

Zajęty własnymi myślami Glogauer spojrzał nieprzytomnie na Jana.

— Jaką decyzję?

— Czy jesteś tym, o którym mówią prorocтва, czy też samozwańcem, przed którym ostrzegał nas Adonai.

— Za nikogo się nie podawałem — Glogauer poczuł, że nerwy mogą go zawieść. — Jestem po prostu podróżnikiem, obcym w waszym kraju...

Chrzciciel roześmiał się.

— Tak, podróżnikiem. W magicznym rydwanie. Moi bracia widzieli twe przybycie. Rozległ się huk jak od pioruna, zajaśniało jak podczas burzy i w jednej chwili twój rydwan wyłonił się z pustki i potoczył się po ziemi. Moi bracia widzieli już wiele cudów, ale nie było wśród nich takiego, który mógłby się równać z twoim.

— Ten rydwan nie jest magiczny — rzucił pospiesznie Glogauer, w tej samej chwili zdając sobie sprawę, że Chrzciciel i tak nie zrozumie wyjaśnień. — To jest... rodzaj urządzenia napędowego. Rzymianie mają takie rzeczy. Musiałeś o nich słyszeć. Budują je normalni ludzie, żadni czarownicy...

Chrzciciel przytaknął powoli.

— Tak... lubisz Rzymian. Rzymianie wydaliby mnie w ręce moich wrogów, w ręce dzieci Heroda.

Glogauer wiedział sporo o politycznych zawiłościach tych czasów, spytał jednak:

— A to czemu?

— Musisz wiedzieć czemu. Czyż nie przemawiam przeciwko Rzymianom, którzy niewolą Judeę? Czyż nie przemawiam przeciwko nieprawościom, jakie czyni Herod? Czy nie przepowiadam czasu, kiedy to wszyscy nieprawomyślni zostaną wygubieni i kiedy, jak głoszą stare prorocтва, królestwo Adonai odrodzi się na Ziemi? Mówię ludowi: Bądźcie gotowi na ten dzień, gdy przyjdzie wam sięgnąć po broń, by wypełnić wolę Adonai. Wszyscy nieprawi wiedzą, że dzień ten oznaczać będzie ich zgubę i przez to pragną mnie zabić.

Chociaż wypowiedziane z żarliwością słowa te nie były słowami szaleńca. Ton był rzeczowy, przez twarz nie przemknął nawet cień fanatyzmu; podobnie spokojne było całe zachowanie mówiącego. W tej chwili Jan kojarzył się Karłowi z anglikańskim wikarym czytającym kazanie napisane już tak dawno, że nawet dla autora uleciało zeń wszelkie znaczenie.

— Podburzasz zatem ludzi, by oczyścili ten kraj z Rzymian, tak?

- Tak... Z Rzymian i tego potwora Heroda.
- A kogo widzisz na jego miejsce?
- Prawowitego króla Judei.
- Kto nim jest?
- Jan zmarszczył brwi i spojrzał na Karla z ukosa.
- Adonai nam pokaże. Da nam znak, gdy król j nadejdzie.
- Jaki to będzie znak?
- Dowiem się, gdy go otrzymam.
- A zatem proroctwa?
- Tak, mamy pewne proroctwa...

Powiązanie tego rewolucyjnego planu z Adonai (tak brzmiało jedno ze stosowanych, a więc wypowiedzianych głośno w mowie potocznej imion Jahwe, znaczące tyle co Pan) nadawało sprawie, przynajmniej w oczach Glogauera, szczególną wagę. W świecie, gdzie religia i polityka zawsze szły w parze, a tak działo się przecież nawet na Zachodzie, konieczne było dodanie do każdego ambitnego planu jakiegoś elementu, który sugerowałby jego nadnaturalne pochodzenie.

W rzeczy samej, myślał Karl, wygląda na to, że Jan naprawdę wierzy, iż pomysł buntu pochodzi od Boga. Tak, a po drugiej stronie Morza Śródziemnego Grecy jeszcze nie zakończyli dysputy, czy myśli rodzą się w człowieku same, czy są w jego umyśle inspirowane przez bogów.

To, że Jan szybko uznał w nim egipskiego maga nie było niczym dziwnym. Okoliczności jego przybycia na pustkowie musiały rzeczywiście nosić pozory wielkiego cudu i tym samym były łatwiejsze do przyjęcia. Ci ludzie mieli wiele lat na to, by przywyknąć do cudów i pochopnie nie dziwili się byle czemu.

Jan skierował się do wyjścia.

— Muszę pomedytować. I pomodlić się. Poczekasz tutaj, aż zostanie zesłany znak.

Wyszedł dużymi krokami.

Glogauer opadł na mokrą słomę. Jego pojawienie się w tym miejscu wyraźnie nawiązywało do oczekiwań Chrzciciela. A przynajmniej Chrzciciel pragnął tak to widzieć, interpretując wszystko w kategoriach biblijnych i tak dalej. Co można było zrobić? Zupełna bezradność. Do czego Chrzciciel chciałby go wykorzystać? A może uzna, że Karl jest szkodliwym pomiotem i zabije go? A jeśli zdecyduje się ujrzeć w nim proroka i będzie żądać przepowiedni, których przecież nie otrzyma?

Glogauer westchnął i dotknął ściany.

Była z wapienia. A więc jednak jaskinia! Czy to znaczy, że Jan i jego ludzie ukrywają się ścigani przez Rzymian i żołnierzy Heroda jak zwykli bandyci? Jeśli tak, to groziło mu tu jeszcze jedno niebezpieczeństwo, gdyby schronienie Jana zostało odkryte.

Powietrze w jaskini było zdumiewająco wilgotne.

Na zewnątrz musiało być bardzo gorąco.

Karl czuł się senny.

Obóz letniskowy, Isle of Wight, 1950

Zaraz pierwszego wieczoru imbryk z gorącą herbatą przewrócił się tak nieszczęśliwie, że płyn poparzył mu prawe udo. Bolało straszliwie, niemal natychmiast wyskoczyły bąble.

— Bądź mężczyzną, Glogauer! — powiedział pan Patrick, rumianolicy wychowawca, kierownik obozu. — Bądź mężczyzną!

Karl starał się nie płakać, gdy niezgrabnie nakładano mu opatrunek z waty.

Jego śpiwór był bezpośrednio przy mrowisku. Leżał w nim, podczas gdy pozostałe dzieci się bawiły.

Następnego dnia pan Patrick obwieścił dzieciom, że muszą „zarobić” pieniądze, które ich rodzice wpłacili na kieszonkowe.

— Zobaczmy, które z was jest odważne, a które bez charakteru — powiedział, zgromadziwszy wszystkich na placu między namiotami i machając w powietrzu trzcina. Dzieci stały w dwóch długich kolejkach — w jednej chłopcy, w drugiej dziewczynki.

— Do kolejki, Glogauer! — krzyknął pan Patrick. — Trzy pensy za uderzenie w dłoń, sześć pensów za uderzenie w pośladek. Nie bądź tchórzem, Glogauer!

Z wahaniem Karl stanął w ogonku.

Trzcinka podnosiła się i opadała; pan Patrick oddychał ciężko.

— Sześć uderzeń w pośladki to trzy szylingi — wręczył pieniądze dziewczynce.

Kolejne razy, kolejna wypłata.

Im bliżej był początku, tym bardziej Karl denerwował się.

W końcu wyszedł z kolejki i skierował do namiotu.

— Glogauer! A gdzie twoja odwaga? Nie chcesz kieszonkowego? — dogonił go chrapliwy głos pana Patricka.

Glogauer potrząsnął głową. Zbierało mu się na płacz.

Wszedł do namiotu i łkając, zakopał się w śpiwór.

Pan Patrick wciąż się wydzierał.

Karl wziął papeterię i długopis. Łzy kapały na papier, gdy pisał list do matki.

Na zewnątrz słychać było trzcinkę spadającą na dziecięce ciała.

Następnego dnia udo go bolało jeszcze bardziej, na dodatek zarówno wychowawcy, jak i dzieci ignorowali go. Nawet kobieta, która miała tu być „pielęgniarką” (żona Patricka), kazała mu nie zawracać głowy takim drobnym oparzeniem.

Kolejne dwa dni dzielące Karla od przyjazdu matki były najgorszymi, jakie zdarzyło mu się przeżyć.

Tuż przed przybyciem matki chłopca pan Patrick podjął próbę uleczenia go, przecinając scyzorykiem pęcherze po oparzeniu, by nie wyglądały zbyt tragicznie.

Matka zabrała go i napisała potem do pana Patricka list z żądaniem zwrotu pieniędzy, uzasadniając to skandalicznym sposobem prowadzenia obozu.

W odpowiedzi otrzymała pismo, z którego wynikało, że pieniędzy z powrotem nie otrzyma, natomiast, jeśli już chce wiedzieć, to jej syn jest słabeuszem. Ponadto, jak przeczytał Karl, który także zdołał w końcu rzucić okiem na list, pan Patrick był zdania, że z Karla jest „kawał pedała”.

Parę lat później małżeństwo to i ich współpracownicy zostali skazani i osadzeni w więzieniu. Powodem było udowodnione oskarżenie o rozmaite akty sadyzmu, popełniane podczas obozów letnich organizowanych przez nich na Isle of Wight.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rano, a czasem i wieczorem, wynoszono go na zewnątrz.

Nie był to, jak przypuszczał uprzednio, tymczasowy obóz zwykłych włóczęgów, ale stała, osiadła społeczność. Pobliskie źródło wykorzystywano do nawadniania pól, na których uprawiano zboże; na wzgórzach wypasano stada kóz i owiec.

Życie płynęło spokojnie i powoli. Zajęci codziennymi obowiązkami tubylcy w większości ignorowali Glogauera.

Czasem przychodził do niego Chrzciciel i pytał o zdrowie. Zdarzało się, że zadawał też tajemnicze pytania, na które Glogauer starał się odpowiadać najlepiej jak potrafił.

Społeczność zdawała się składać z dość łagodnych ludzi poświęcających praktykom

religijnym o wiele mniej czasu, niż Glogauer mógł się po takiej gromadzie spodziewać. W końcu jednak doszedł do wniosku, że częste znikanie znacznej liczby mieszkańców gdzieś na osobności musi mieć związek z jakimś rytuałem, który widocznie wolą odprawiać poza zbiorowością.

Najczęściej jednak przebywał sam na sam ze swoimi myślami, wspomnieniami i spekulacjami. Żebra zraszały się bardzo wolno i Karl zaczął się już zamartwiać, że nigdy nie osiągnie celu, dla którego tutaj przybył.

Zdumiewało go, jak mało kobiet liczyła cała społeczność. Atmosfera wioski miała w sobie coś z zakonnej powściągliwości, bowiem większość mężczyzn unikała jakiegokolwiek kontaktu z kobietami. Powoli zaczął rozumieć, że znalazł się w społeczności ukształtowanej jako wspólnota religijna. Tak, najprawdopodobniej byli to właśnie esseńczycy.

Jeżeli tak, to wiele się wyjaśniło — przede wszystkim nieobecność kobiet (niewielu esseńczyków uznawało małżeństwo), apokaliptyczne proroctwa Jana, poszanowanie dla nakazów religii, surowe warunki, w jakich wszyscy tu żyli i fakt, że z rozmysłem izolowali się od reszty świata...

Przy najbliższej okazji Glogauer zapytał o to Chrzciciela.

— Janie, twój lud to esseńczycy?

Chrzciciel przytaknął.

— Skąd wiesz?

— Słyszałem... o tobie. Herod wyjął cię spod prawa?

— Zrobiłby to, gdyby mógł — Jan potrząsnął głową — ale nie ma po temu wystarczającej przyczyny. Żyjemy tutaj tak jak chcemy, po swojemu, nikogo nie krzywdząc i nie usiłując nawet przekonać nikogo do tego, w co wierzymy. Od czasu do czasu wyruszam, by głosić naszą prawdę, ale tego prawo nie zakazuje. Szanujemy przykazania Mojżesza i nawołujemy tylko do tego, by i inni je szanowali. Przemawiamy jedynie za prawością. Nawet Herod nie może dopatrzeć się w tym winy...

Glogauer rozumiał teraz lepiej, skąd wzięły się przynajmniej niektóre z pytań zadawanych przez Jana. Pojmował, dlaczego ci ludzie zachowywali się i żyli w ten sposób.

Zrozumiał też, jak to było możliwe, że okoliczności jego przybycia tak mało ich wzruszyły. Sekta taka jak esseńczycy, praktykowała umartwianie i posty, zatem jej członkowie musieli przywyknąć do różnego rodzaju objawień i wizji, o które w tym miejscu i w takim klimacie zawsze było szczególnie łatwo.

Przypomniał też sobie teorię głoszącą, że Jan Baptysta był esseńczykiem i że wiele wczesnochrześcijańskich idei zostało zaczerpniętych właśnie z ich wierzeń.

Chociażby to, że esseńczycy uznawali rytualną kąpiel zwaną chrztem, wierzyli w magiczne znaczenie liczby dwanaście (dwunastu apostołów), która też określi skład sądu ludzkości w jej ostatnim dniu, głosili kredo „kochaj bliźniego swego” * i podobnie jak wcześni chrześcijanie przekonani byli, że przychodzi im żyć w czasie bezpośrednio poprzedzającym Armageddon — ostatnią bitwę między światłem a ciemnością, dobrem i złem, po której nastąpi sąd nad wszystkimi ludźmi. Podobnie też jak niektóre sekty chrześcijańskie wierzyli, iż sami są uosobieniem sił światłości, podczas gdy inni — Herod i rzymscy najeźdźcy — reprezentują siły ciemności, które należy pokonać. Te polityczne elementy były nierozłącznie związane z doktryną religijną i chociaż istniała możliwość, by ktoś taki jak Jan Chrzciciel wykorzystywał ich cynicznie do swych własnych pozareligijnych celów, to prawdopodobieństwo takiego manewru było niewielkie.

Posługując się terminologią dwudziestowieczną, Karl opisałby esseńczyków jako neurotyków wykazujących niemal paranoidalny mistycyzm, który przejawia się wynajdywaniem sekretnych języków i tym podobnych rzeczy, co jednoznacznie dowodzi braku równowagi

* Ścisłej chodzi tu o wcześniejszą wersję tego przykazania, brzmiącą „kochaj sąsiada twego”, odnoszącą się jeszcze do wspólnot (przyp. tłum.).

psychicznej.

Wszystko to docierało do Glogauera-niedoszęłego psychiatry, ale Glogauer-zwykły człowiek, rozdarty był między skrajnym racjonalizmem a pragnieniem poddania się temu mistycyzmowi.

Chrzyciel odszedł, zanim Glogauer zdążył mu zadać następne pytanie. Karl patrzył za nim — wysokim mężczyzną znikającym w jednej z jaskiń, potem przeniósł spojrzenie dalej, na pola, gdzie szczupły esseńczyk szedł za pługiem ciągniętym przez dwóch innych członków sekty.

Przyglądał się żółtym wzgórzom i kamieniom. Coraz bardziej pragnął zobaczyć większy kawałek tego świata; równocześnie zastanawiał się, jaki los spotka jego wehikuł czasu. Czy naprawdę zupełnie nie nadawał się do naprawy? Czy uda mu się kiedykolwiek opuścić tę epokę i powrócić do dwudziestego stulecia?

Seks i religia.

Do klubu parafialnego zapisał się, by znaleźć przyjaciół.

Wycieczka na wieś, 1954

Karl i Weronika odłączyli od grupy w lesie, w Falowe's Wood.

Ona była gruba i pryszczata, ale była dziewczyną.

— Siądźmy i odpocznijmy trochę — zaproponował, wskazując na okolony krzewami pagórek.

Usiedli razem.

Milczeli.

Karl patrzył nie na okrągłą, czerwoną twarz Weroniki, ale na mały, srebrny krzyżyk wiszący na łańcuszku na jej szyi.

— Lepiej poszukajmy innych — powiedziała nerwowo. — Będą się o nas niepokoić.

— Niech sami nas znajdą. Niedługo usłyszymy ich krzyki.

— A jak sobie pójdą?

— Nie odejdą bez nas. Nie martw się, usłyszymy, jak będą nawoływać...

Objął jej ramiona odziane w granatową wełnę. Oczu nie spuszczał z krzyżyka.

Usiłował pocałować ją w usta, ale odwróciła głowę.

— To ty mnie pocałuj — powiedział bez tchu. Nawet w tej chwili zdawał sobie sprawę jak niedorzecznie się zachowuje, jakiego głupca z siebie robi. Zmusił się jednak, by dalej próbować. — Pocałuj mnie, Weroniko...

— Nie, Karl. Przestań.

— No...

Wyrwała się z jego objęć i wstała.

Splonął rumieńcem.

— Przepraszam. Przepraszam.

— W porządku...

— Myślałem, że tego chciałaś...

— Nie powinieneś tak na mnie naskakiwać. To nie było romantyczne.

— Przepraszam...

Odeszła parę kroków. Przy każdym ruchu krzyżyk kołysał się. Karl był tym zafascynowany. Czy traktowała krzyżyk jako amulet mający chronić przed niebezpieczeństwem? Pewnie sądziła, że czegoś takiego właśnie zdołała uniknąć.

Poszedł za nią.

Wkrótce usłyszeli nawoływania innych osób krążących między drzewami i z niewyjaśnionych powodów Karlów zrobiło się niedobrze.

Gdy spotkali resztę grupy, kilka dziewcząt zachichotało, a jeden z chłopców spojrzął ze złością.

— Co porabialiście?

— Nic takiego.

Ale Weronika zachowała milczenie i chociaż wcale nie chciała go pocałować, nie miała nic przeciwko miłym jej sercu insynuacjom.

W drodze powrotnej trzymała go za rękę.

Gdy dotarli do kościoła, było już ciemno. Wstąpili jeszcze na herbatę. Karl i Weronika usiedli obok siebie. Przez cały czas wpatrywał się w krzyżyk wiszący między jej dużymi już piersiami.

Reszta towarzystwa zebrała się na drugim końcu pustego poza tym domu parafialnego. Karl słyszał dobiegające czasem z gromadki chichoty, widział, jak jeden z chłopców nieustannie spogląda w ich stronę. Zaczął odczuwać osobliwe zadowolenie z siebie. Przynął się bliżej.

— Przynieść ci jeszcze herbaty?

Weronika miała wzrok wbity w podłogę.

— Nie, dzięki. Będę już wracać. Mamusia i tatuś mogą się o mnie niepokoić.

— Jeśli chcesz, to odprowadzę cię do domu.

Zawahała się.

— Dla mnie to prawie po drodze.

— Dobrze.

Wstali razem. Ujął jej dłoń i pomachał pozostałym.

— Cześć wszystkim. Zobaczymy się w czwartek!

Dziewczęta roześmiały się i Karl znów spłonął rumieńcem.

— Tylko uważaj, co robisz! — krzyknął jeden z chłopców.

Karl mrugnął do niego.

Szli jasno oświetlonymi ulicami przedmieść. Oboje byli zbyt zakłopotani, by się odezwać. Karl trzymał bezwładną dłoń dziewczyny.

Gdy doszli do drzwi jej domu, przystanąła.

— To ja już wejdę — powiedziała pospiesznie.

— Teraz też mnie nie pocałujesz? — spytał, wpatrując się nadal w krzyżyk.

Cmoknęła go przelotnie w policzek.

— To można zrobić o wiele lepiej.

— Ale ja muszę już iść.

— No dalej, pocałuj mnie porządnie. — Był bliski paniki, cały czerwony, spocony.

Zmusił się, by ją objąć; fałdy tłuszczu przyprawiały go o mdłości, pryszczata twarz wcale nie była pociągająca, a wręcz odwrotnie.

— Nie!

Za drzwiami domu rozbłysło światło i w hallu pojawił się jej ojciec.

— To ty, Weroniko?

Karl zwolnił uścisk.

— Okay, jeśli chcesz być taka.

— Przepraszam — zaczęła. — To tylko...

Drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w koszuli. Był podobnie gruby i niemły dla oka jak córka.

— Ho, ho — powiedział. — Mamy zatem sympatię?

— To Karl — wyjaśniła Weronika. — Odprowadzi mnie do domu. On też należy do klubu.

— Mogłeś odprowadzić ją odrobinę wcześniej, młody człowieku. Wstąpisz na filiżankę herbaty lub poczęstunek?

zapa...potrzebuję...muszę po-
DOŚĆ
Samotny, samotny, samotny...
Och, samotny, samotny...

Trądzik młodzieńczy. Mycie. Samotny. Racjonalizm. Kopulacja z wielkim, srebrnym krzyżem.

Żebra się zrastały.

Wieczorami kuśtykał do wyjścia z jaskini i słuchał, jak esseńczycy zawodząc monotonnie, odprawiają wieczorną modlitwę. Z jakiegoś niejasnego powodu łzy napływały mu wtedy do oczu i zdarzało się, że wybuchał płaczem.

Ponadto, często nachodziły go stany depresyjne i nie raz, i nie dwa myślał wtedy o samobójstwie.

Otworzył wszystkie kurki gazowe w domu; odczekał, aż matka podejdzie do furki, po czym szybko pobiegł do salonu i położył się przed kominkiem. Dobrze pamiętał, o której wraca z pracy.

Gdy weszła do środka, najpierw krzyknęła, podniosła go i ułożyła na kanapie, wybiła wszystkie pojedyncze okna na parterze i dopiero potem pomyślała, że można by zakręcić gaz i wezwać pogotowie.

Do czasu przyjazdu doktora miała już gotową historyjkę o wypadku, ale doktor i tak wszystkiego błyskawicznie się domyślił. Nie był przy tym zbyt miły dla Karla.

— To było głupie przedstawienie, młody człowieku — powiedział, gdy matka wyszła akurat na chwilę z pokoju. — To było tylko przedstawienie, oto co o tym myślę.

Karl się rozplakał.

— Wyjedziemy na wakacje — stwierdziła matka, gdy doktor już poszedł. — O co ci chodzi? W szkole źle idzie? Wyjedziemy gdzieś sobie.

— Tu nie chodzi o szkołę — łkał.

— To o co?

— O ciebie...

— O mnie? Czemu o mnie? Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic — zacisnął usta.

— Muszę zadzwonić po szklarza — rzuciła, wychodząc z pokoju. — Szyby będą nas kosztowały majątek.

Kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie...

Samotny...

Ojciec nasz, któryś jest w niebie, błogostawione imię twoje, święć się królestwo twoje...

KOCHAJ MNIE!

Płynie większy niżli świat, w dłoni mały, obrzezany kutas, srebrne chmury kłębią się na kształt wielkich, miękkich krzyży i płynie tak, płynie, coraz bliżej, bliżej, bliżej, nadchodzi i....

KOCHAJ MNIE!

Bill Haley i The Comets. *See ya later, alligator*. I na trzy i pół miesiąca Bóg poszedł w odstawkę.

Jana Chrzciciela nie było przez miesiąc i Glogauer nauczył się przez ten czas żyć razem z esseńczykami, co nie okazało się wcale trudne, a nawet więcej, było zdumiewająco łatwe. Odkrył to, gdy po powrocie do zdrowia włączył się w ich codzienny rytm obowiązków.

Osada składała się z domów wzniesionych z wapienia i surowej, suszonej na słońcu cegły oraz z zagospodarowanych jaskiń, których wiele otwierało się na oba stoki dolinki. Nie wszystkie jaskinie były zresztą pochodzenia naturalnego; część została wydrążona przez poprzednich mieszkańców tych okolic, niektóre przez samych esseńczyków.

Sekta po równo dzieliła wszystkie dobra prócz żon, których zresztą nie było wiele, bowiem jak już Glogauer wcześniej zauważył, wielu mężczyzn stosowało ściśle, wręcz ortodoksyjnie, zasady ascezy.

Ku swojemu zdziwieniu odkrył, że większość esseńczyków to pacyfiści odmawiający posiadania lub wytwarzania broni. Pozostawało to w niejkiej sprzeczności z wojowniczymi zapędami Chrzciciela, niemniej w wyraźny sposób Jan był tu tolerowany i do pewnego stopnia poważany.

Możliwe, że górę nad zasadami wzięła łącząca wszystkich nienawiść do Rzymian; może nie rozumieli Jana do końca, może sam nie chciał być rozumiany. Tak czy inaczej, esseńczycy tolerowali jego poglądy i wiele świadczyło, że widzieli w nim swego przywódcę.

Codzienne życie wspólnoty składało się z rytualnej kąpieli, trzykrotnej w ciągu dnia, modlitwy przed wszystkimi posiłkami i o zmierzchu oraz z pracy.

Praca nie była ciężka.

Glogauer włączał się w ich życie — czasem prowadził ciągniony przez dwóch ludzi pług, czasem sam się do niego zaprzęgał, bywało, że doglądał pasących się na okolicznych wzgórzach kóz.

Było to życie spokojne, uporządkowane, niezbyt może higieniczne, ale nie minęło wiele czasu, a Glogauer przyzwyczyił się także do braku różnych udogodnień.

Pasąc kozy, kładł się zwykle na szczycie wzgórza i wpatrywał się w pustkowia, które nie były całkowitą pustynią, ale kamienistą krainą mogącą wyżywić tak mało wymagające stworzenia jak kozy czy owce. Gdzieś wyrastały nisko płożące się krzewy, nad brzegiem rzeki, wpadającej z pewnością do Morza Martwego, sterczały niewysokie drzewa.

Nie była to kraina równinna — gdy patrzyło się na nią ze wzniesienia przypominała zamazłe nagle podczas burzy i pomalowane na żółto i brązowo jezioro.

Za Morzem Martwym leżało Jerusaleń, o którym Glogauer często myślał.

Chrystus, rzecz jasna, nie wkroczył jeszcze po raz ostatni do miasta.

Jan Chrzciciel (o ile można polegać na *Nowym Testamencie*) powinien uprzednio umrzeć. Salome powinna zatańczyć przed Herodem, a wielka głowa Chrzciciela stoczyć się, oddzielona od ciała.

Myśli te podniecały Glogauera i budziły w nim poczucie winy. Może powinienem ostrzec Chrzciciela?

Ale wiedział, że tego nie zrobi. Zanim zamknął się w wehikule czasu, został wyraźnie ostrzeżony, by nie podejmować jakichkolwiek prób zmiany biegu historii. Przekonywał się wprawdzie, że trudno tu mówić o jakimś konkretnym przebiegu wydarzeń, gdyż do jego czasów przetrwały tylko legendy, brak ściśle historycznych, pełnych zapisków o tym okresie. Księgi Nowego Testamentu zostały spisane w dziesięciolecie, a może nawet stulecie po opisywanych tam wypadkach. Nigdy nie były one uznawanym źródłem historycznym. A zatem, nie było w zasadzie istotne czy zdobędzie się na jakąkolwiek ingerencję, czy nie, skoro i tak nie znał biegu wypadków.

Nadal jednak był pewien, że nie spróbuje nawet ostrzec Jana przed niebezpieczeństwem.

Mglisto docierało do niego, dlaczego tak czyni: pragnął, by wszystko, co pamiętał, zdarzyło się naprawdę. Pragnął, by *Nowy Testament* okazał się opisem prawdziwym.

Wkrótce powinien wyruszyć na poszukiwanie Jezusa.

Matka często się przeprowadzała, zawsze jednak starała się pozostać na tym samym mniej więcej terenie, sprzedając na przykład dom w jednej części Południowego Londynu i kupując zaraz następny, oddalony o pół mili od pierwszego.

Po krótkiej fascynacji rock and rollem Karl zapisał się do chóru kościelnego w Thornton Heath, dokąd właśnie się przeprowadzili. Głos miał dobry, pełny i nie minęło wiele czasu, a prowadzący chór wikary zaczął okazywać mu spore zainteresowanie. Na początku rozmawiali o muzyce, potem coraz częściej o religii. Karl zwracał się do wikarego o porady w różnych sprawach związanych z sumieniem. Na przykład jak można żyć i działać normalnie, nie raniąc niczyich uczuć? Czemu ludzie są wobec siebie tak agresywni? Dlaczego dochodzi do wojen?

Odpowiedzi, których udzielał mu pan Younger były zwykle równie ogólne i mgliste jak pytania, wypowiadał je jednak głębokim, budzącym zaufanie głosem i Karl zawsze czuł się potem podniesiony na duchu.

Czasem chodzili razem na spacer. Pan Younger obejmował wówczas Karla ramieniem.

Pewnego weekendu pojechali na festiwal chórów do Winchesteru i zostali na noc w schronisku młodzieżowym. Karl dzielił pokój z wikarym.

Głęboką nocą pan Younger wśliznął się do łóżka Karla.

— Szkoda, że nie jesteś dziewczyną, Karl — powiedział, głaszcząc go po głowie.

Karl nie wiedział zupełnie, co odpowiedzieć, nie sprzeciwił się jednak, gdy pan Younger położył dłoń na jego genitaliach.

Kochali się przez całą noc, rano jednak Karl poczuł do siebie obrzydzenie. Uderzył pana Youngera w pierś i powiedział, że jeśli kiedykolwiek jeszcze spróbuje czegoś takiego, to powie mamie.

Pan Younger rozplakał się i stwierdził, że jest mu przykro i że powinni pozostać przyjaciółmi, Karl jednak nie wierzył.

Coś się tu nie zgadzało. Wikary stwierdził, że kocha Karla nie tak po prostu, oczywiście, ale po chrześcijańsku, i że bardzo sobie ceni jego towarzystwo. Karl jednak nie chciał o tym rozmawiać i na wszelki wypadek unikał go w pociągu, którym wracali do Thornton Heath.

Pozostał w chórze jeszcze przez kilka tygodni, jednak stosunki z wikarym nie układały się dobrze.

Pewnego wieczoru, pod koniec prób, pan Younger poprosił, by Karl został jeszcze chwilę. Chłopaka ogarnęło jednocześnie obrzydzenie i pożądanie.

Zgodził się w końcu i pozwolił, by pan Younger pieścił jego genitalia; robił to pod plakatem, na którym widniał prosty, drewniany krzyż z hasłem BÓG TO MIŁOŚĆ pod spodem.

Karl dostał ataku histerycznego śmiechu. Wybiegł z kościoła i nigdy już tam nie wrócił. Miał wtedy piętnaście lat.

Srebrne krzyże to kobiety.

Drewniane krzyże to mężczyźni.

Często myślał o sobie jako o drewnianym krzyżu. W zawieszonych między snem a jawą porannych majakach widział się czasem jako ciężki, drewniany krzyż ścigający przez pola ciemności mały, delikatny srebrny krzyżyk.

Miał około siedemnastu lat, gdy stracił zupełnie zainteresowanie fasadowym chrześcijaństwem i skupił się na religiach pogańskich, obsesyjnie zgłębiając celtycki mistycyzm i mitraizm. Przy okazji zdarzył mu się flirt z żoną pewnego sierżanta-majora * mieszkającą w

* Stopień wojskowy będący odpowiednikiem polskiego starszego sierżanta (wyj. tłum.).

Kilburn. Spotkał ją na przyjęciu, urządzonym przez kobiety poznane poprzez rubrykę kontaktów korespondencyjnych efemerycznego magazynu „Avilion”.

Żona sierżanta-majora (który odbywał służbę gdzieś na Dalekim Wschodzie) nosiła mały, srebrny celtycki krzyż, „krzyż słońca” i to zainteresowało go przede wszystkim. Niemniej i tak potrzebował pół butelki ginu, by ją objąć ramieniem, a następnie, po ciemku, włożyć jej rękę między uda. Miała na sobie satynowe reformy, pod którymi była całkiem wilgotna.

Po przygodzie z Deirdre Thompson odnosił sukces za sukcesem, zdobywając po kolei nieładne, bezwyrazowe kobiety z grupy. Wszystkie, jak odkrył, nosiły dokładnie takie same, satynowe reformy.

Nim upłynęło sześć miesięcy był zmęczony, miał dość neurotycznych bab, dość miał swojej osoby i celtyckiego mistycyzmu.

Rzadko zaglądał wtedy do domu, zwykle przemieszkował u Deirdre Thompson, w końcu jednak wrócił do siebie i zafundował sobie załamanie nerwowe.

Matka zdecydowała, że potrzeba mu odmiany i wysłała go, by odwiedził przyjaciół w Hamburgu.

Hamburscy przyjaciele byli pełni wiary, że w istocie rzeczy są potomkami tych, którzy wyginęli podczas zniszczenia Atlantydy bombami atomowymi zrzuconymi z latających talerzy przez wredne duchy z Marsa.

Tym razem odniósł serię sukcesów z nieładnymi, bezwyrazowymi Niemkami, które wszystkie w odróżnieniu od swych brytyjskich siostr nosiły czarne, nylonowe majteczki z koronkami.

Potrzebował odmiany i miał odmianę.

W Hamburgu popadł w wojowniczo antychrześcijańskie usposobienie i zaczął głosić, że chrześcijaństwo jest odchyleniem i odstępstwem od starej wiary nordyckiej.

Nie był jednak w stanie pogodzić się z tezą, że wiara ta w czystej swej formie pochodzi z wierzeń Atlantów, co spowodowało ostateczny rozdzwitek między nim a niemieckimi przyjaciółmi. Ponieważ Niemcy jako takie nie zainteresowały Karla, co więcej, uznał że ogólnie są odstręczające, wyjechał do Tel Awiwu, gdzie znał właściciela pewnej księgarni, specjalizującej się w wiedzy okultystycznej i handlującej głównie dziełami francuskojęzycznymi.

W Tel Awiwie właśnie, od pewnego węgierskiego malarza, dowiedział się o Jungu i w pierwszej chwili uznał jego teorie za brednie. Jeszcze bardziej zamknięty w sobie wsiadł pewnego ranka do autobusu jadącego do wsi na skraju pustyni.. W końcu dotarł do Antylibanu i tam usłyszał ludzi mówiących językiem bardziej podobnym do dawnego aramejskiego, niż gdziekolwiek indziej. Byli gościnni i czuł się wśród nich dobrze. Do Tel Awiwu wrócił dopiero po czterech miesiącach. Raz jeszcze, mając umysł o wiele bardziej otwarty, porozmawiał z tym samym Węgrem o Jungu. Ani w okultystycznej księgarni, ani w innych księgarniach i bibliotekach Tel Awiwu nie znalazł żadnej z prac Junga, ani też dzieł na jego temat po angielsku. Wstąpił do konsulatu brytyjskiego, załatwił wszystkie formalności i niedługo potem wrócił do Anglii. Gdy tylko znalazł się w Południowym Londynie, poszedł do miejscowej biblioteki. Spędził tam wiele czasu — czytał Junga.

Matka spytała go w końcu, kiedy podejmie jakąś pracę.

Odpowiedział, że zamierza studiować psychologię i, jeśli się uda, zostać psychiatrą.

Tryb życia esseńczyków był prosty i wygodny.

Dali mu przepaskę z koziej skóry i kij; ani w dzień, ani w nocy nie spuszczano go wprawdzie z oka, mimo to jednak wyglądało, że został zaakceptowany jako nie wtajemniczony członek sekty.

Czasem pytano go mimochodem o rydwan — jego wehikuł czasu — który mieli zamiar sprowadzić wkrótce do obozu. Opowiadał wówczas, że właśnie ten pojazd przeniósł go z Egi-

ptu do Syrii, a potem z Syrii tutaj. Przyjmowali ten cud bez szemrania. Przywykli do cudów. Zdarzało im się widywać rzeczy o wiele dziwniejsze niż jego wehikuł czasu. Widzieli ludzi chodzących po wodzie i anioły opuszczające się z niebios, i wzlatające tam i z powrotem; słyszeli głos Boga i jego archaniołów; kusił ich szept szatana i jego sług.

Wszystkie te objawienia opisywali skrupulatnie na zwojach pergaminu, na równi z codziennymi relacjami i wszystkimi wieściami, które podróżujący członkowie sekty zwozili do osady.

Żyli w nieustannej obecności Boga, przemawiali do niego codziennie, a on odpowiadał im zawsze wtedy, gdy wystarczająco poddali swe ciała samoudręczeniu, gdy

dopełniali postów i dostatecznie długo zawodzili modlitwy pod palącym słońcem Judei.

Karl Glogauer zapuścił włosy, pozwolił skołtunieć brodzie. Twarz i cała skóra szybko pociemniała mu od słońca. Umartwiał swe ciało, pościł i modlił się na słońcu tak samo jak inni.

Rzadko jednak słyszał Boga. Raz tylko wydało mu się, że widzi archanioła z ognistymi skrzydłami.

Pewnego dnia zabrali go nad rzekę i ochrzcili, nadając mu imię, którym przedstawił się z początku Janowi Chrzcicielowi: Emmanuel.

Ceremonia, pełna zawodzenia i monotonnego kołysania się, jak wino uderzyła mu do głowy. Ogarnęła go euforia i poczuł się bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek w życiu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mimo szczerego pragnienia, nie udało się Glogauerowi doświadczyć wszystkich wizji będących dla esseńczyków chlebem powszednim. Czuł się rozczarowany.

Z drugiej jednak strony zdumiewało go, jak dobrze czuje się wśród tych ludzi, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę jego kiepską kondycję psychiczną i niedawne cierpienia. Odpoczywał i nie miało większego znaczenia, że członkowie sekty, gdyby spojrzeć na nich zgodnie z przeciętnymi normami, byli ludźmi szalonymi. Może brało się to stąd, że ich szaleństwo nie było wcale silniejsze od jego obłądu. Po pewnym czasie przestał się nawet nad tym zastanawiać.

Monika.

Monika nie nosiła srebrnego krzyżyka.

Poznał ją w Darley Grange Mental Hospital, gdzie pracował jako sanitariusz. Miał nadzieję, że w ten sposób ułatwi sobie start w psychologię. Ona była psychiatrą opieki społecznej i zdawała się bardziej przystępna niż inni. Karl szukał wówczas kogoś, kto chciałby z nim porozmawiać o wszystkich cierpieniach zadawanych pacjentom, o tym jak inni sanitariusze i pielęgniarki dokuczali chorym, bili ich, krzyczeli o byle co.

— Trudno nam dobrać właściwy personel — powiedziała. — Pensje są tak niskie...

— To powinni je podwyższyć.

Nie wzruszyła, jak inni, ramionami, tylko zgodziła się z nim.

— Wiem. Napisałam w tej sprawie dwa listy do „Guardiana”, na wszelki wypadek oba pod cudzym urwiskiem. Jeden nawet wydrukowano.

Wkrótce potem odszedł ze szpitala i sporo czasu upłynęło, nim spotkał ją po raz drugi.

Miał wtedy dwadzieścia lat.

Jan Chrzciciel wrócił wreszcie pewnego wieczora, prowadząc grupkę około dwudziestu najbliższych uczniów.

Glogauer ujrzał go między wzgórzami w chwili, gdy miał właśnie zapędzić kozy na nocleg do jaskini. Przystanął i poczekał, aż Jan się zbliży.

W pierwszej chwili Chrzyciel go nie poznał.

— Stałeś się esseńczykiem, Emmanuelu — roześmiał się. — Czy zostałeś już ochrzczony?

— Tak.

— To dobrze. — Chrzyciel zmarszczył się, jakby nagle sobie coś przypomniał. — Odwiedzałem przyjaciół w Jerusalemie.

— I jakie przynosisz stamtąd nowiny?

Chrzyciel spojrzał mu prosto w oczy.

— Że najprawdopodobniej nie jesteś szpiegiem Rzymian ni Heroda.

— Cieszę się, że tak to widzisz — uśmiechnął się Glogauer.

Rysy Jana złagodniały. Też się uśmiechnął i rzymskim zwyczajem ujął go pod ramię.

— A zatem: jesteś naszym przyjacielem. A może nawet więcej niż przyjacielem.

Glogauer zmarszczył czoło.

— Nie jestem twoim współwyznawcą.

Czuł ulgę, że Chrzyciel, który cały ten czas najwyraźniej sprawdzał osobę Glogauera, doszedł do pozytywnych wniosków.

— Mam nadzieję, że dobrze się rozumiemy — powiedział Jan.

Glogauer był zmęczony. Jadł niewiele, większość dnia spędził na słońcu, pilnując kóz. Ziewnął. Nie potrafił pozbierać myśli, by odpowiedzieć Janowi.

— Nie... — zaczął, ale Jan przerwał mu ze śmiechem.

— Nie odpowiadaj teraz. Zapraszam cię dziś na ucztę. Mam miód dzikich pszczoł i szarańczę.

Glogauer nie próbował tego jeszcze. Szarańcza i miód były zwykłym pożywieniem podróźników, którzy wyruszyli w drogę bez zapasów. Niektórzy uważali to danie za przysmak.

— Dziękuję. Zatem do wieczora.

Jan uśmiechnął się tajemniczo i odszedł ze swoją gromadką.

Wciąż zdumiony Glogauer wprowadził kozy do pieczary i zamknął wiklinową furtkę. Potem poszedł do swojej jaskini i ułożył się na słomie.

Najwyraźniej Chrzyciel przeznaczył dla Glogauera jakąś szczególną rolę w swoim planie.

Gdzie te słoneczne dni wśród drzew i traw, dni z Ewą, Ewą słodką, dziewiczą, pełną uczucia... Spotkał ją w Oxfordzie na przyjęciu wydanym przez Gerarda Friedmana, dziennikarza specjalizującego się w książkach poświęconych zjawiskom nadnaturalnym.

Już drugiego dnia wybrali się na spacer nad Isis. Przyglądali się cumującym przy drugim brzegu barkom i czekającym cierpliwie wędkarzom. W oddali wznosiły się wieże uczełni.

Był bardzo niespokojny.

— Nie trzeba się tak przejmować, Karl. Nic na tym świecie nie jest doskonale. Czy nie możesz brać życia takim, jakim jest?

Była pierwszą dziewczyną, przy której czuł się bezpieczny i odprężony.

— Pewnie mógłbym. — Roześmiał się. — Czemu nie?

Tyle było w niej ciepła. Długie, jasne włosy spadały jej na twarz, zakrywając co chwilę wielkie, błękitne oczy, które zawsze, czy Ewa była poważna, czy żartowała, patrzyły z taką urzekającą szczerością...

Przez te kilka spędzonych z nią tygodni brał życie właśnie takim, jakie było. Sypiali razem w małym pokoju na strychu domu Friedmana i nie przeszkadzało im ani lubieżne, w gruncie rzeczy, zainteresowanie gospodarza ich romansem, ani listy, które Ewa otrzymywała

od rodziców nieustannie pytających, kiedy wreszcie wróci do domu.

Miała dziewiętnaście lat, był to jej pierwszy rok w Somerville, a nadeszły właśnie wakacje.

Po raz pierwszy zdarzyło mu się, że był przez kogoś kochany. Zresztą oboje byli solidnie zadurzeni. Z początku mocno go to krępowało, szczególnie gdy Ewa okazywała uczucie, posunął się nawet do podejrzliwości, po prostu nie mógł uwierzyć, że ktoś może go obdarzać aż taką miłością. Powoli jednak nauczył się ten stan akceptować i odwzajemniać go. Gdy byli osobno, pisywali dla siebie wzajem kiepską wprawdzie, ale szczerą poezję.

— Jesteś taki dobry, Karl — mawiała. — Jesteś ozdobą tego świata.

Śmiał się wtedy.

— Potrafię jedynie rozczulać się nad sobą. Innych talentów nie posiadam.

— Nie, po prostu jesteś zdolny do refleksji nad życiem, a to co innego.

Próbował wyperswadować jej ten wyidealizowany obraz jego osoby, ale sprawiło to jedynie, że miała go ponadto za osobę bardzo skromną.

— Jesteś jak... jak Parsifal — powiedziała pewnej nocy. Roześmiał się, ale gdy ujrzał, że uraził ją tym śmiechem, pocałował ją przeprasząco w czoło.

— Nie przesadzaj.

— Mówię poważnie, Karl. Przecież ty szukasz świętego! Graala. I wiem, że go znajdziesz.

To stwierdzenie zrobiło na nim spore wrażenie, zaczął nawet zastanawiać się, czy przypadkiem Ewa nie ma racji. Owszem, chyba rzeczywiście kieruje nim przeznaczenie. Czuł się przy niej jak bohater. Pławił się w jej podziwie.

Wykonawszy kilka badań dla Friedmana, zarobił dość, by kupić jej mały, srebrny ankh do zawieszenia na szyi. Była zachwycona. Studiowała komparatystykę religijną, a Egipt był jej szczególnie pasją.

Karl nie był do końca przekonany o jej miłości. Musiał się upewniać, poddawać uczucie próbie. Zaczął popijać wieczorami, opowiadać jej sprośne kawałki, wywoływać bójki w pubach. Zwykle zresztą otwarcie dawał wtedy do zrozumienia, że jest zbyt tchórzliwy, by wziąć udział w bijatyce.

Ewa powoli zaczęła się wycofywać.

— Robię się nerwowa przez ciebie — wyjaśniała z żalem. — Cały czas jestem napięta.

— Nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Nie możesz kochać mnie tylko za to, że istnieję? Po prostu taki jestem. Żaden ze mnie Parsifal.

— Oszukujesz sam siebie, Karl.

— Nie, próbuję jedynie pokazać, jaki rzeczywiście jestem.

— Nieprawda. Jesteś miły, dobry, uprzejmy...

— Jestem litującą się nad sobą pomyłką losu. I albo mnie takim przyjmujesz, albo nie mamy o czym rozmawiać.

Przestali zatem rozmawiać i dwa dni później Ewa wyjechała do domu. Napisał do niej, ale nie doczekał się odpowiedzi. Pojechał, ale rodzice powiedzieli, że jej nie ma.

Przez kilka następnych miesięcy wypełniało go poczucie przegranej, był zdezorientowany. Czemu z rozmysłem zniszczył ich związek? Tak, chciał, by zaakceptowała go takim, jakim był naprawdę, żeby zapomniała o wyobrażonym wizerunku. Ale jeśli to ona miała rację? Czyżby z premedytacją odrzucił szansę stania się kimś lepszym?

Nie potrafił na to odpowiedzieć.

Godzinę później w jaskini pojawił się jeden z uczniów Chrzciciela; zaprowadził Karla do domu położonego po drugiej stronie dolinki.

Były tam tylko dwa pomieszczenia — w jednym się jadło, w drugim spało.

Jan przyjął go w ubogo umeblowanej jadalni. Gestem wskazał bawełnianą matę rozło-

żoną po drugiej stronie zastawionego niskiego stolika.

Glogauer usiadł, krzyżując nogi. Jan uśmiechnął się i skinął zapraszająco.

— Smacznego.

Miód i szarańcza były nieco zbyt słodkie jak na przyzwyczajenia Karla, stanowiły jednak miłą odmianę po jęczmieniu i kozim mięsie.

Jan Chrzciciel jadł z apetytem. Na zewnątrz zapadła noc i w pomieszczeniu zapłonęły słabe lampki z knotami zanurzonymi w oliwie. Z zewnątrz dobiegały modlitwy esseńczyków.

Glogauer zanurzył kolejnego szarańczaka w stojącej między nimi kadzi z miodem.

— Czemu zapragnąłeś się ze mną widzieć, Janie?

— Ponieważ nadszedł już czas.

— Czas na co? Czy zamierzasz poprowadzić lud Judei do buntu przeciwko Rzymianom?

Chrzciciel zdawał się być zakłopotany aż tak bezpośrednim pytaniem; pierwszym na ten temat zadany przez Glogauera.

— Jeśli taka będzie wola Adonai — opowiedział, nie podnosząc wzroku znad kadzi z miodem.

— Rzymianie o tym wiedzą?

— Trudno powiedzieć, Emmanuelu, ale ten kazirodca Herod bez wątpienia przekazał im, że przemawiam przeciwko nieprawym.

— Ale, jak dotąd, Rzymianie cię nie aresztowali.

— Piłat się na to nie odważy; przynajmniej teraz, gdy została wysłana ta petycja do imperatora Tyberiusza.

— Jaka petycja?

— No ta, którą podpisali Herod i faryzeusze. Wysłano ją, gdy prokurator Piłat umieścił w pałacu w Jerusalemie tarcze wotywnie. Pragnął zbeczczyć świątynię. Tyberiusz upomniał Piłata i odtąd, chociaż prokurator nadal tak samo nienawidzi Żydów, postępuje wobec nich ostrożniej.

— A właśnie, powiedz mi, Janie, nie wiesz, jak długo Tyberiusz włada Rzymem? — Aż do tej chwili Glogauer nie miał okazji zadać tego pytania ponownie.

— Czternaście lat.

Był zatem rok pański 28. Do Ukrzyżowania pozostał niecały rok, a wehikuł czasu nie nadawał się do użytku.

Na dodatek Jan Chrzciciel planował zbrojną rebelię przeciwko okupującym Judeę Rzymianom, niemniej, jeśli potraktować Ewangelię jako źródło wiarygodne, wkrótce powinien zostać ścięty przez Heroda. Z pewnością nie doszło w tym okresie do żadnego poważniejszego buntu.

Nawet ci, którzy głosili, iż wkroczenie Jezusa i jego uczniów do Jerusalemu, a także najście na świątynię były to akcje zorganizowane przez rebeliantów, nie wiązali ich w żaden sposób z działalnością Jana.

Glogauer polubił Jana, i to bardzo. Człowiek ten był typem zatwardziałego rewolucjonisty, zdolnego przez wiele lat planować występowanie przeciwko Rzymianom. Tworzył niespiesznie armię zwolenników mającą zagwarantować powodzenie próby.

Przypominał mocno przywódcę ruchu oporu gdzieś z okresu drugiej wojny światowej, szczególnie wytrzymałością i rozumieniem realiów, w których przychodziło mu działać. Wiedział, że dana mu będzie tylko jedna szansa rozbicia kohort judejskiego garnizonu. Jeśli rebelia się przeciągnie, Rzym będzie miał aż nadto czasu, by przysłać do Jerusalemu dodatkowe oddziały.

— Jak sądzisz, kiedy Adonai planuje zgładzić za twym pośrednictwem wszystkich nieprawych? — spytał ostrożnie Glogauer.

Jan spojrzał na niego z pewnym rozbawieniem.

— Pascha jest czasem, gdy ludzie bywają niespokojni. Nie cierpią wtedy obcych.

— A kiedy jest najbliższe Święto Wyjścia?

— Za parę miesięcy.

Glogauer milczał, pogryzając szarańczę. Potem spojrział z ukosa na Chrzciciela.

— I ja mam odegrać w tym jakąś rolę?

Jan wbił wzrok w ziemię.

— Zostałeś przysłany tu przez Adonai, by pomóc nam wypełnić jego wolę.

— Jak mogę wam pomóc?

— Jesteś magiem.

— Ale nie potrafię czynić cudów.

Jan otarł miód z brody.

— W to nie uwierzę, Emmanuelu. Sposób w jaki do nas przybyłeś, był sposobem cudownym. Esseńczycy nie wiedzieli z początku, czy jesteś diabłem, czy wysłannikiem Adonai.

— Ani jednym, ani drugim.

— Dlaczego starasz się zamieszać mi w głowie, Emmanuelu? Ja wiem, że wysłał cię Adonai. Jesteś tym znakiem, którego esseńczycy wypatrują. Czas się zbliża. Królestwo Niebieskie winno wkrótce zapanować na Ziemi. Chodź z nami. Ogłoś ludziom, że głos Adonai przemawia przez ciebie. Czyń wielkie cuda.

— Twa potęga słabnie, prawda? — Glogauer spojrział przenikliwie na Jana. — Potrzebujesz mnie, bym odnowił w twoich ludziach nadzieję?

— Czy musisz mówić jak Rzymianie? Zupełnie brak ci subtelności.

Jan wstał gwałtownie.

Podobnie jak esseńczycy, z którymi przebywał, upodobał sobie mniej bezpośrednie wypowiedanie myśli. Miało to swe uzasadnienie — wszyscy tutaj najbardziej obawiali się zdrady, a ta mogła nadejść zewsząd. Wszystkie zapiski czynili zawsze półotwartym szyfrem, w którym każde niewinne z pozoru słowo czy zdanie znaczyło zwykle coś zupełnie innego.

— Przepraszam, ale czy nie mam racji? — Glogauer starał się przemawiać jak najspokojniej.

— Czy nie jesteś magiem, który znikąd przybył tu na rydwanie? — Chrzciciel zamachał rękami. — Ujrzeli, jak coś lśniącego zmaterializowało się nagle w powietrzu, pękło i wypuściło ciebie. Czy to nie magia? Rzeczy, które na sobie miałeś — czy to był strój ziemski? Te wszystkie talizmany w rydwanie? Czy nie świadczą one o magicznej potędze? Prorok ogłosił, że mag przybędzie z Egiptu i zwać się będzie Emmanuel. Tak jest zapisane w Księdze Micheasza! Powiedz, czy żadna z tych rzeczy nie jest prawdą?

— Większość nie. Ale to można wyjaśnić... — urwał, nie mogąc się zdobyć na dopowiedzenie „racjonalnie”. — Jestem zwykłym człowiekiem tak jak i ty. Nie umiem czynić cudów. Jestem tylko człowiekiem!

Jan patrzył groźnie.

— A zatem odmawiasz pomocy?

— Wdzięczny jestem i tobie, i esseńczykom. Właściwie to uratowaliście mi życie. Jeśli mogę się jakoś odwdzięczyć...

Jan kiwnął głową w milczeniu.

— Możesz się odwdzięczyć, Emmanuelu.

— Jak?

— Bądź tym wielkim magiem, którego mi potrzeba. Pozwól mi przedstawić cię wszystkim, którzy tracą już cierpliwość i odwracają się od woli Adonai. Pozwól, bym opowiedział, jak do nas przybyłeś. A potem ty potwierdzisz głośno, że taka jest wola Adonai i ich powinnością jest przygotować się do jej wypełnienia.

Jan wpatrywał się w niego z uwagą.

— Zrobisz to, Emmanuelu?

— Janie, czy nie ma jakiegoś sposobu, by pomóc ci, nie oszukując nikogo, ani ciebie, ani ludu, ani sprzeniewierzając się samemu sobie...

Jan się zamyślił.

— Może sam nie zdajesz sobie sprawy z przeznaczenia, które jest ci pisane... — powiedział z zastanowieniem w głosie. — Może? Przecież gdybyś głosił na prawo i lewo kim jesteś, potraktowałbym cię o wiele bardziej podejrzliwie. Czy nie możesz po prostu uwierzyć mi, Emmanuelu, że jesteś tym, którego nadejście przepowiadali prorocy?

Glogauer czuł się pokonany. Jak miał dyskutować z taką postawą? A jeśli rzeczywiście jest kimś takim? Przecież zdarzają się ludzie obdarzeni mocą jasnowidzenia... Co za bzdury. Ale co mógł zrobić?

— Janie, widzę, że rozpaczliwie wypatrujesz jakiegokolwiek znaku. Może prawdziwy mag jeszcze przyjdzie...

— Już przybył. Ty nim jesteś. Modliłem się, wiem.

Jak miał wytłumaczyć Janowi, że właśnie jego desperacja powoduje, iż pragnienia odbierane są jako rzeczywistość? Westchnął.

— Emmanuelu, czy nie pomożesz ludowi Judei?

Glogauer zacisnął wargi.

— Niech pomyślę. Pozwól mi się przespać, Janie. Przyjdź do mnie rano i wtedy ci odpowiem.

Z niejakim zdziwieniem Glogauer zauważył, że oto role się odwróciły. Teraz nie on zabiegał o pozytywne nastawienie Chrzyciela, teraz Chrzyciel błagał o jego przychylność.

Karl powrócił do jaskini wyraźnie ożywiony, nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu rozjaśniającego mu oblicze. Nie stosując żadnych zabiegów socjotechnicznych, zdobył sobie pozycję o wielkim znaczeniu. Jak powinien teraz uzyskaną władzę wykorzystać? Czy naprawdę miał tu jakąś misję do spełnienia? Czy mógł zmieniać historię, czy wolno mu było brać na siebie odpowiedzialność za wsparcie Żydów w walce przeciw Rzymianom?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— Być Żydem to znaczy być nieśmiertelnym — powiedział mu Friedman kilka dni po wyjeździe Ewy. — Być Żydem to znaczy wypełniać przeznaczenie, nawet jeśli całkiem łatwo można tego dokonać.

Friedman był wysoki i gruby, niemal zupełnie łysy, o bladej, nalanej twarzy i cynicznym spojrzeniu. Nosił grube garnitury z zielonego tweedu. Okazywał Karlowi wiele względom, nie oczekując prawie niczego w zamian — ot, żeby czasem Karl zechciał go wysłuchać.

— Być Żydem oznacza być męczennikiem. Chcesz jeszcze sherry? — przeszedł przez gabinet i nalał Karlowi kolejny kieliszek. — To dlatego właśnie nie wyszło ci z nią, chłopcze. Nie mogłeś znieść sukcesu.

— Nie wiem, czy masz rację, Gerardzie. Chciałem tylko, żeby przyjęła mnie takim, jakim jestem...

— Chciałeś, żeby przyjęła cię takim, jak sam siebie widzisz, a nie takim, jak ona ciebie widziała. Kto zresztą może orzec, które z was miało słuszość? Siebie postrzegasz jako męczennika, prawda? Co za szkoda. To świetna dziewczyna. Zamiast ją stąd przeganiać, mogłeś scedować ją na mnie.

— Daj spokój, Gerardzie. Ja ją kochałem!

— Siebie kochałeś bardziej.

— A czy ktokolwiek jest inny?

— Wielu ludzi w ogóle nie odczuwa żadnej miłości własnej. Ty jednak, muszę przy-

znać, siebie kochasz najbardziej.

— To brzmi jak oskarżenie o narcyzm.

— Ty nie jesteś w stanie tego dostrzec. Nie oszukuj sam siebie.

— Tak czy inaczej, nie sądzę, by miało to coś wspólnego z faktem, że ktoś jest Żydem. Ty i całe twoje pokolenie zawsze robiliście z tych spraw mistykę. Przesadzacie z odreagowaniem tego, co stało się za Hitlera.

— Może.

— Niemniej, ja i tak nie jestem do końca Żydem. Nie zostałem wychowany po żydowsku.

— Mając taką matkę, nie zostałeś wychowany po żydowsku! Może nie chodziłeś do synagogi, synu, ale wiele innych rzeczy...

— Mniejsza z tym, Gerardzie. Odchodzimy przez ciebie od tematu. Chciałbym zastanowić się, jak ją odzyskać.

— Zapomnij o niej. Znajdź sobie jakąś miłą Żydówkę. Naprawdę. Ona cię zrozumie. Co się stało, to się stało, Karl. Typ nordycki nie jest dla ciebie dobrą parą...

— Chryste! Nie wiedziałem, że jesteś rasistą.

— Jestem jedynie realistą.

— To już słyszałem.

— Dobrze. Jeśli szukasz kłopotów...

— Może i szukam...

Ojciec...

Oczy pełne bólu.

Ojciec...

Usta poruszające się bezgłośnie.

Ciężki drewniany krzyż zapada się w bagnie. Walczy. Ze wzniesienia przygląda mu się mały, srebrny krzyżyk.

Porno... NIE!

Nie wolno mi prosić...

Chcę jedynie... NIE!

POMOCY!

Nie

— Ceremonialna religia jest do niczego — powiedział mu raz w pubie przyjaciel Gerarda, Johnny, jeszcze student. — Nie pasuje do naszych czasów. Musisz znaleźć tę odpowiedź w sobie. Przez medytację.

Johnny był szczupły, z wiecznie ruchliwą, nerwową twarzą. Studiował na trzecim roku i radził sobie raczej kiepsko.

— Religia daje poczucie komfortu nie obciążające odpowiedzialnością — dodał Friedman ze swego stołka.

Karl roześmiał się do Gerarda.

— To typowe dla ciebie, co? Nie wiesz, o czym rozmawiamy, a wtrącasz się. Odpowiedzialność? Jestem pacyfistą gotowym zginąć za moje przekonania. To więcej, niż ty potrafiłbyś kiedykolwiek!

— Nie mam żadnych przekonań...

— Właśnie!

Karl znów się roześmiał.

— Stawię bierny opór każdemu mężczyźnie w tym pubie!

— Zamknij się! Widzę, że doszedłem do czegoś, czego żaden z was nie jest nawet w stanie pojąć.

— Wydaje mi się, że nie wyszło ci to na dobre — powiedział Karl z nie uświadomionym zrazu okrucieństwem. Zaraz tego pożałował i położył Johnny'emu dłoń na ramieniu, ale ten strząsnął ją i opuścił pub.

Karlowi zrobiło się przykro, także z powodów bardziej ogólnych.

— Nie martw się nim — powiedział Gerard. — Zawsze obrywa.

— Ale nie zasługuje na to. To sensowny gość, ma coś, w coś wierzy. Ja nie mogę znaleźć niczego takiego.

— I dobrze. Tak jest zdrowiej.

— Nie wiem, jak możesz mówić o zdrowiu... Tak bardzo lubisz sabaty czarownic i prochy...

— Każdy ma swoje problemy. Jeszcze jednego?

Karl zmarszczył brwi.

— Zaatakowałem Johnny'ego tylko dlatego, że wprawił mnie w zakłopotanie. Pokazał mi, jak powinienem sobie radzić.

— Każdy ma swoje problemy. Jeszcze jednego?

— Dobra.

Złapany, uwięziony. Nie potrafię być sobą. Robię to, czego inni po mnie oczekują. Czy tak jest z każdym? Czy wielkie indywidualności to tylko wytwór tych, którzy pragnęli mieć wielkie indywidualności za przyjaciół?

Wielcy indywidualiści muszą być samotni. Każdy chce wierzyć, że nie można ich osiągnąć ani zranić, że są na wszystko odporni. I w końcu nie traktuje się ich jak ludzi. Gorzej, postępuje się z nimi jak z symbolami czegoś, co przecież nie może istnieć. Muszą być bardzo samotni.

Samotny.

Zawsze znajdzie się jakiś powód, by pozostać samotnym.

Samotny...

— Mamusiu, chcę...

— A kogo obchodzi, czego ty chcesz? Nie było cię prawie przez rok. Nie pisałeś. A kto pomyśli, czy może ja czegoś nie chcę? Gdzie byłeś? Mogłam umrzeć przez ten czas, a ty...

— Spróbuj mnie zrozumieć...

— Niby dlaczego? Czy ty próbowałaś kiedykolwiek zrozumieć mnie?

— Tak, próbowałam...

— Jak diabli. Czego chcesz tym razem?

— Chcę...

— Czy mówiłam ci już, co powiedział mi doktor...?

Samotny...

Potrzebuję...

Chcę...

— Możesz być pewny, że na wszystko, co spotka cię na tym świecie, solennie zasłużyłeś. Choć z drugiej strony, nie wszystko, na co zasłużyłeś, w końcu cię osiąga.

Oparł się pijany o bar i wpatrywał w czerwoną twarz przemawiającego.

— Wielu ludzi nigdy nie zaznaje tego, na co zasłużyli — stwierdził właściciel pubu i roześmiał się.

— Chcę przez to powiedzieć... — wycodził czerwonołicy.

— Czemu się nie zamkniesz?

— Sam się zamknij!

— Obaj się zamknijcie — stwierdził barman.

Miłość...

Subtelna. Czuła. Słodka.

Miłość...

— Twój problem, Karl — powiedział Gerard, gdy szli na Mitrę, gdzie Gerard miał postawić Karlowi lunch — polega na tym, że uparłeś się przy romantycznej miłości. Popatrz na mnie; mam wszystkie możliwe odmiany bzików..., jak lubisz to często zaznaczać swym bohaterskim tenorem. Owszem, rajcują mnie czarne msze i inne takie, ale nie biegam po ulicy i nie zarzynam dziewczyc. Po części zresztą dlatego, że prawo tego zakazuje. Ale ty jesteś romantycznym zbrojcem, a na to nie ma paragrafu. Ja nic nie mogę zrobić, jeśli dziewczyna nie założy czarnego welonu lub czegoś podobnego. No nie wychodzi... Ale ty jesteś gorszy. Stajesz bezradny, póki nie przyrzekniesz dozgonnej miłości i póki ona nie przyrzeknie tego samego i wszystko cholernie się wikła. Za zniszczenie, które siejesz! Twoje zdrowie! I tych biednych dziewczyn, które wykorzystujesz. To niesmaczne...

— Robisz się bardziej cyniczny niż zwykle.

— Nie, ani trochę. Mówię to całkowicie szczerze. Nigdy nic mnie tak nie pochłaniało! Romantyczna miłość! Należałoby ustanowić jakieś zwalczające ją prawo. Jakąś mądrą ustawę... To obrzydliwe i zawsze zapowiada katastrofę. Popatrz tylko, co stało się z Romeem i Julią. To ostrzeżenie przeznaczone dla nas wszystkich.

— Gerardzie...

— Czemu po prostu nie zaczniesz po ludzku cieszyć się zwykłym pierdoleniem? Zostaw te głupoty i uwierz mi. Nie sprowadzaj dziewczyn na złą drogę.

— Są tacy, którzy wolą ową złą drogę.

— Skoro tak mówisz...

— Czy ty w ogóle nie wierzysz w miłość?

— Mój drogi Karl. Gdybym nie wierzył w istnienie pewnych form miłości, to czy w ogóle dawałbym ci te rady?

Karl uśmiechnął się do niego.

— Jesteś bardzo miły, Gerardzie...

— O dobry Boże! Nie, Karl, proszę! Nic nie rozumiesz. Jeśli raz jeszcze spojrzysz na mnie w ten sposób, to nigdy nie zapłacę za ten wystawny lunch. Mówię poważnie.

Karl westchnął. Jedynej mężczyzna, który kiedykolwiek okazał mu trochę bezinteresownej sympatii, odmawiał mu prawa do jej odwzajemnienia, a w każdym razie do okazywania tej wzajemności. Co za ironia...

Chcę...

Potrzebuję...

Chcę...

— Odczuwam brak czegoś we mnie samym, Moniko.

— Czego ci brakuje?

— Może to poczucie braków. Nie wiem, czy to rozumiesz, ale...

— Och, na miłość boską!

— Jesteś wrażliwy — powiedziała mu kiedyś Ewa.

— Nie, już ci mówiłem. To mazgajowatość. To tylko z pozoru przypomina wrażliwość.

— Och, Karl, czemu nie okażesz sobie trochę miłosierdzia?

— Miłosierdzia? Nie zasłużyłem na nie.

— Czego ty właściwie szukasz? — spytał Gerard przy lunchu.
— Nie wiem. Może świętego Graala. Ewa uważała, że uda mi się go kiedyś odnaleźć.
— Czemu nie? Teraz wart byłby majątek! Bierzemy jeszcze butelkę?
— Wiesz, Gerardzie, ja nie jestem ani męczennikiem, ani świętym. Nie jestem bohaterem. Nie jestem też nikim innym. Jestem po prostu sobą. Czemu ludzie nie chcą mnie takim przyjąć?
— Ja lubię cię dokładnie takim, jakim jesteś.
— To może mnie poprzysz. Chcesz powiedzieć, że lubisz mnie, gdy jestem wszystkim naraz?
— Może i tak. Jeszcze butelkę?
— Dobra.

Gerard zaoferował się, że zapłaci chesne za Karla i umożliwi mu studiowanie psychologii.

— Jestem przerażony wizją tego — powiedział — co może się z tobą zdarzyć, jeśli tego nie zrobię. Możesz na przykład wstąpić w szeregi katolików!

Karl wytrzymał na studiach rok. Pragnął poznawać jedynie Junga, a uczelnia upierała się, by zaliczał jeszcze różne inne przedmioty. Większość z nich była nad wyraz mało atrakcyjna.

Boże?

Boże?

Boże?

Żadnej odpowiedzi.

Przy Gerardzie był poważny, mocny, inteligentny.

Wobec Johnny'ego był wywyższającym się, dominującym, bezlitosnym kpiarzem.

W towarzystwie innych czasem milczał, czasem był hałaśliwy. Wśród głupców cieszył się jak głupiec. Uważał za sukces, jeśli osoby, które podziwiał, uznawały go za bystrego.

— Dlaczego wobec każdego zachowuję się inaczej? Ciągle jestem kim innym, Gerardzie. Sam już nie wiem, Kim jestem naprawdę. Kim właściwie? Co? Co się ze mną dzieje?

— Może trochę zbyt gorliwie starasz się wszystkich zadowolić, Karl.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po raz drugi spotkał Monikę latem 1962, wkrótce po tym, jak porzucił studia. Podejmował wówczas różne dorywcze prace i ogólnie nie był w najlepszej formie.

Monika wydawała się bezcenną pomocą, przewodnikiem mogącym poprowadzić Karla przez spowijające jego umysł ciemności.

Oboje mieszkali w pobliżu Holland Park, gdzie spotykali się często w niedziele. Umawiali się przy basenie ze złotymi rybkami, który był ozdobą ogrodu urządzonego z wyrafinowanym smakiem.

Tego lata widywali się w parku niemal co tydzień. Karla ogarnęła obsesja na tle Junga, szczególnie jego sposobu traktowania chrześcijańskiego mistycyzmu.

Monika, która pogardzała Jungiem, rozprawiała się bezlitośnie ze wszystkimi jego ideami.

Nigdy nie przekonała Karla, zdołała jednak zamieszać mu w głowie.

Wszystko to działo się na sześć miesięcy przed tym, gdy po raz pierwszy poszli razem do łóżka.

Obudził się. Nad nim stał Jan Chrzciciel z twarzą ściągniętą niepokojem.

— No i jak, Emmanuelu?

Karl podrapał się w bujną już brodę. Przytaknął.

— Niech będzie, Janie. Pomogę ci przez wzgląd na to wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Pamiętam, że okazałeś mi przyjaźń i uratowałeś życie. Ale w zamian chciałbym, żebyś posłał kogoś po mój rydwan. Jak najszybciej. Dobrze? Chciałbym sprawdzić, czy nie da się go naprawić.

— Zrobię to.

— Nie powinienes pokładać zbytnej wiary w moją moc, Janie...

— Wierzę jej bezgranicznie...

— Nie chciałbym cię zawieść...

— Nie zawiedziesz — Jan położył dłoń na ramieniu Glogauera. — Jutro mnie ochrzczisz. W ten sposób okazemy ludowi, że Adonai jest z nami.

Karl był niezmiennie zaniepokojony zaufaniem okazywanym przez Chrzciciela, nic więcej nie był już w stanie zrobić. Nie potrafił ująć pewności jego wierze. Jeśli inni myśleli podobnie jak Jan... Cóż, w takim razie istniała przynajmniej szansa, że czegoś zdoła dokonać.

Glogauer odczuł na nowo nocne ożywienie. Nie kontrolowany uśmiech wykwitł na jego ustach częściowo skrywanych przez brodę.

Chrzciciel też się uśmiechnął, najpierw niepewnie, po chwili zaczął śmiać się głośno.

Glogauer nie potrafił się już opanować i zaniósł się serdecznym śmiechem, przerywanym tylko dla nabrania oddechu.

Wszystko to razem zupełnie nie licowało z myślą że jemu właśnie przypadnie w udziale, by razem z Janem Chrzcicielem przygotować grunt na nadejście Chrystusa. To skojarzenie było teraz źródłem jego wesołości.

Chrystus jednak jeszcze się nie narodził.

Być może wówczas, na rok przed Ukrzyżowaniem, zaczynało to z wolna docierać do Glogauera.

A słowo ciałem się stało i zamieszkało wśród nas (i ujrzelśmy chwałę jego, jaką ma jedyny Syn od Ojca) pełne łaski i prawdy. Jan świadczył o nim i głośno wołał: ten to był, o którym powiedziałem: Ten, który za mną idzie, był przede mną, bo pierwaj był niż ja.

(Jan I: 14-15)

Było nieznośnie gorąco.

Siedzieli w cienie kafeterii i obserwowali rozgrywany opodal mecz krykieta.

Bliżej nich jakieś dwie dziewczyny i chłopak wygniatali trawę i popijali z plastikowych kubków sok pomarańczowy. Jedna z dziewcząt trzymała na kolanach gitarę; w pewnej chwili odstawiła kubek i zaczęła grać. Wysokim, łagodnym głosem zaczęła jakąś ludową piosenkę.

Glogauer usiłował złapać słowa; w college'u nabrał upodobania do tradycyjnego folku.

— Chrześcijaństwo jest martwe. — Monika upiła herbaty. — Religia umiera. Bóg został zabity w 1945.

— Ale może jeszcze dojść do jej odrodzenia.

— Miejmy nadzieję, że nie. Religia powstała jako dziecię strachu. Wiedza uwalnia nas od strachu. Bez lęku natomiast religia nie jest w stanie przetrwać.

— Uważasz, że w dzisiejszych czasach nie ma się już czego bać?

— Ale to już nie to samo, Karl.

— Nie próbowałaś nigdy zastanowić się nad samą ideą Chrystusa? — Karl spróbował

zmienić temat. — Nad jej znaczeniem dla chrześcijan?

— Znaczy tyle samo, co idea traktora zdobywającego wioskę dla marksisty.

— Ale co było pierwsze? Sama idea czy istnienie Chrystusa?

Wzruszyła ramionami.

— Pierwsza była rzeczywistość, czyli Chrystus, jeśli o to chodzi. Jezus był żydowskim podżegaczem przygotowującym rebelię przeciwko Rzymianom. Za to właśnie został ukrzyżowany. To wszystko, co wiemy i wszystko, co wiedzieć trzeba.

— Wielka religia nie może wziąć się ot tak, z czegoś podobnie prostego.

— Gdy istnieje potrzeba, wówczas wielką religię można zbudować z najbardziej nawet niepozornych wątków.

— I o to mi chodzi, Moniko — zamachał rękami aż się cofnęła. — Idea poprzedziła sam fizyczny byt Chrystusa.

— Nie upieraj się, Karl. Rzeczywistość zawsze w takich przypadkach jest wcześniejsza od idei.

Jakaś przechodząca obok para spojrzała zaintrygowana ich kłótnią.

Monika zauważyła to i umilkła.

— Dlaczego tak nie cierpisz religii, tak drwisz z Junga? — spytał.

Wstała. Karl też się podniósł, ale Monika potrząsnęła głową.

— Idę do domu, Karl. Ty zostań tutaj; zobaczymy się za parę dni.

Patrzył za nią, jak odchodziła szeroką ścieżką ku bramie parku. Tak, zapewne dlatego czuł się z nią tak dobrze. Była w podobnym stopniu, no, prawie tak samo jak on, przygotowana do wszelkiej kłótni.

Wampiry.

Dobrana z nas para.

Gdy następnego dnia wrócił z pracy do domu, zastał list.

Musiała napisać go zaraz po rozstaniu i wysłać jeszcze tego samego dnia. Otworzył go i zaczął czytać.

Drogi Karl,

Rozmowa z tobą, jak sam się już chyba i przekonałeś, nie daje wiele. Zupełnie jakbyś wsłuchiwał się w ton głosu i rytm zdania, nie zadając sobie trudu, by zrozumieć treść przekazu.

Jesteś jak nieco nadwrażliwe zwierzątko, które rozumie, że coś doń powiedziano; nie wie wprawdzie, jakie było tego znaczenie, ale wyczuwa, czy mówiąca do niego osoba jest zła czy zadowolona, wroga czy przyjazna i tak dalej. Dlatego właśnie teraz piszę do ciebie — by spróbować wyłożyć ci, co o tym wszystkim sądzę. Gdy jesteśmy razem, nic z tego nie wychodzi — reagujesz zbyt emocjonalnie.

Uśmiechnął się. To był jeszcze jeden powód, dla którego tak lubił z nią przebywać. Zwykle spokojnie można było oczekiwać, że prędzej czy później emocje dojdą w dyskusji do głosu.

Robisz błąd, traktując chrześcijaństwo jak coś, co rozwinęło się i przybrało formę religii w ciągu tych kilku lat pomiędzy śmiercią Jezusa a spisaniem Ewangelii. Ale chrześcijaństwo nie było żadną zupełnie nową jakością. Nowa była jedynie nazwa. Chrześcijaństwo powstało na skutek krzyżowego zapłodnienia zachodniej logiki wschodnim mistycyzmem. Popatrz tylko, jak ta religia zmieniała się przez stulecia, jak ulegała reinterpretacji koniecznej, by sprostać zmieniającym się czasom. Chrześcijaństwo jest tylko nową nazwą dla

konglomeratu dawnych mitów i różnych filozofii. Ewangelia jedynie powieliła stare mity związane z kultem słońca i dodaje zniekształcone idee wywodzące się z Grecji i Rzymu.

Jeszcze w drugim wieku żydowscy uczeni określali to wszystko jako zupełny Misz-masz! Już oni to wykazali!

Zwracali uwagę na silne podobieństwa między różnymi formami mitów związanych z kultem słońca a mitem Chrystusa. Cuda nigdy nie miały miejsca, wymyślono je później, zapożyczając stąd i zowąd.

Pamiętasz mędrków uniwersyteckich z epoki wiktoriańskiej, którzy upierali się, że Platon tak naprawdę był chrześcijaninem, jako że antycypował myśl chrześcijańską?

Myśl chrześcijańska!

Chrześcijaństwo stało się wehikułem, tramwajem, którym zabrały się w podróż wszystkie idee krążące po świecie jeszcze całe stulecia przed Chrystusem. Czy Marek Aureliusz był chrześcijaninem? Pisał przecież w zupełnej zgodzie z tradycją filozofii zachodniej. Oto dlaczego chrześcijaństwo przyjęło się w Europie, a nie na Wschodzie!

Ze swoim bzikiem powinieneś zostać teologiem, a nie psychiatrą. To samo dotyczy twojego przyjaciela Junga. Równie stronnaczy.

Daj sobie spokój z tymi bredniami, a od razu poczujesz się lepiej. To wszystko, co możesz dla siebie zrobić.

Twoja

Monika

Zmiał list i wyrzucił. Późnym wieczorem miał ochotę raz jeszcze rzucić okiem na tekst, ale zwalczył pokusę.

Wehikuł czasu wyglądał jak coś zupełnie obcego. Zapewne zanadto przywykł już do prymitywnych warunków życia esseńczyków. Pęknięta kula niemal z niczym mu się nie kojarzyła.

Dotknął bolca, który normalnie uruchamiał z zewnątrz mechanizm śluzu. Nic się nie poruszyło.

Wpełził do środka przez pęknięcie. Cały płyn wyciekł, a bez niego podróż byłaby niewątpliwym samobójstwem.

Jan Chrzyciel zerknął do środka jakby w obawie, że Glogauer spróbuje uruchomić rydwan i uciec.

— Nie obawiaj się, Janie — uśmiechnął się Glogauer.

Wszystko tu było martwe. Motory nie dawały się uruchomić i nawet gdyby umiał zdjąć pokrywy, nie potrafiłby ich naprawić — nie był inżynierem. Przynajmniej niczego nie wskazywały. Wehikuł był złodem.

Został uwięziony w tej epoce na dobre. Przynajmniej do czasu, gdy Headington zbuduje drugi wehikuł, by wysłać go za pierwszym.

Zrozumienie tego prostego faktu było szokiem.

Nigdy już zapewne nie ujrzy dwudziestego stulecia, nie zda relacji z tego, co tu widział.

Łzy napłynęły mu do oczu. Odpychając Jana na bok, wydostał się z wehikułu.

— Co się stało, Emmanuelu?

— Co ja tu robię? Co ja tu robię?! — zawołał po angielsku. Słowa miały dziwny, zupełnie obcy akcent. Przecież kiedyś mówił tym językiem! Co się z nim działo?

Zaczął zastanawiać się, czy wszystko to nie jest snem, jakąś długotrwałą, spójną iluzją. Nawet sama idea podróżowania w czasie wydała mu się teraz czymś osobliwym, zgoła niemożliwym.

— Och, Boże — jęknął. — Co się dzieje?

Poczucie rzeczywistości opuściło go raz jeszcze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdzie jestem?

Kim jestem?

Czym jestem?

Gdzie jestem?

— Czas i osobowość — zwykł mawiać z entuzjazmem Headington — to dwie wielkie zagadki. Kąty, krzywe, niewyraźne i ostre perspektywy. Cóż widzimy? Co sprawia, że widzimy właśnie tak, a nie inaczej? Jak moglibyśmy postrzegać inaczej? Wszystkie zakręty i zapętlenia czasu. Odrzucałem te myśli, z uporem traktując czas jako jeszcze jeden wymiar przestrzeni, opisując go kategoriami przestrzennymi. Nic dziwnego, że zaprowadziło mnie to donikąd. Czas nie ma nic wspólnego z przestrzenią. To sprawa psyche. Aha! Nikt mnie nie rozumie. Nawet ty!

Członkowie grupy zwykli traktować go jako nieco pomyłonego.

— Jestem jedynym — powiedział cicho, ale dobitnie — który naprawdę rozumie naturę czasu...

— A jeśli już o czasie mowa... — wtrąciła się Rita Blen — to chyba pora na herbatę?

Wszyscy zgodzili się z ochotą.

Pani Rita Blen nie była osobą przesadnie subtelną. Zraniony w swej dumie Headington wstał i wyszedł.

— Cóż... — powiedziała pani Blen. — Najwyżej...

Pozostali mieli jej to za złe. Headington był jednak osobą dość znaną i przydawał grupie prestiżu.

— Mam nadzieję, że wróci — mruknął Glogauer.

Od czasu gdy stał się dorosły, cierpiał na częste bóle głowy połączone z wymiotami. Zamykał się wtedy w cierpieniu, czekając aż świat przestanie wirować.

Podczas tych ataków tracił często poczucie własnego „ja”, utożsamiając się z kimś innym — na przykład z bohaterem czytanej właśnie książki, politykiem, o którym głośno było w prasie, postacią historyczną z ostatnio poznanej biografii.

Wszystkie te postacie miały jedną cechę wspólną — lęk. Heyst ze *Zwycięstwa* ogarnięty był obsesyjnym strachem przed trzema przybywającymi na wyspę mężczyznami i cały czas nękały go myśli, jak ich powstrzymać, czy nie dałoby się ich zabić (trzeba jednak wspomnieć, że Heyst w wykonaniu Karla był osobowością mniej subtelną niż u Conrada). Niedługo po tym, jak przeczytał historię rewolucji październikowej, wmówił sobie, że jest Zinowjewem, ministrem transportu i telegrafów odpowiedzialnym za uporządkowanie całego chaosu powstałego po 1918 roku, który wiedział, że musi działać rozważnie, jeśli nie chce w ciągu paru lat paść ofiarą czystki.

Leżał wówczas w mrocznym pokoju, głowa pękała mu z bólu, mdłości nie opuszczały, a na dodatek nie mógł zasnąć, tak głęboko nurtowały go wszystkie fikcyjne problemy związane z poszczególnymi postaciami. Potrafił wówczas zapomnieć kompletnie, kim jest i trwać tak, aż ktoś nie przyszedł i nie przypomniał mu jego własnej osobowości.

Monika, gdy jej o tym opowiedział, była ogromnie rozbawiona.

— Pewnego dnia — stwierdziła — obudzisz się i spytasz mnie, kim jesteś, a ja ci nie powiem!

— Nie ma co, piękny z ciebie psychiatra! — roześmiał się.

Żadne z nich nie przejmowało się specjalnie tymi gorączkowymi halucynacjami.

Na co dzień Karl nie wykazywał żadnych nienormalnych tendencji schizofrenicznych,

może poza jednym często zmieniał cechy swej roli społecznej, by dostosować ją do towarzystwa, w którym akurat się znalazł; bezwiednie zaczynał naśladować sposób mówienia innych ludzi, rozumiał jednak, że jest to zachowanie naturalne i do pewnego stopnia właściwe każdemu człowiekowi. Normalny składnik życia.

Czasem tylko zastanawiał się nad tym wszystkim, a szczególnie nad pytaniem, jak wielki jest wpływ cudzych osobowości na jego własną.

Kiedyś upił się w jakimś pubie, wstał nagle od stołu i zamachał rękami, podskakując przy tym i krzywiąc się do Moniki.

Spojrzała na niego z rozdrażnieniem.

— Co cię tym razem opętało? Zaraz nas wyrzucą.

— Dopiero co wynurzyłem się z oceanu. Jestem marynarzem, nazywam się Barnacle Bill — zaśpiewał.

— Nie potrafisz powstrzymać się od picia, Karl, i to cały twój problem...

— Nazbyt się wstrzymuję i to owszem, jest problem.

— Ej, ty, a tobie wydaje się, że gdzie jesteś? — spytał jeden z siedzących przy barze mężczyzn, gdy machający wciąż rękami Karl trącił jego łokieć.

— Sam chciałem wiedzieć, przyjacielu, sam chciałem wiedzieć.

— Chodź, Karl — Monika ciągnęła go już do wyjścia.

— Wszyscy mną poniewierają, moje życie jest tylko, cieniem żywotów innych — stwierdził, gdy przepchała go przez drzwi.

Puby i sypialnie; sypialnie i puby. Wydawało się, że większość życia spędzał w półmroku. Nawet w księgarni zalegały zwykle cienie.

Owszem, pamiętał także słoneczne dni w plenerze, zarówno letnie, jak i zimowe, ale wszystkie one, na przykład te z Moniką, bledły wobec ciemności czającej się w innych dniach. Jak wędrówka po śniegowej brei w parku pod owym szczególnym, angielskim niebem, niezmiennie ciężkim i ołowianym.

Niezależnie od pory dnia i nocy zawsze trwali w świetle mroku.

„Zawsze” — to słowo obejmowało czas ich pierwszego kontaktu w łóżku, czas po pierwszych, letnich spotkaniach.

— W mojej głowie trwa wieczny zmierzch... — zauważył kiedyś.

— Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że mrok zalega w twym umyśle, to jestem tam z tobą — odpowiedziała.

Zignorował tę uwagę.

— To pewnie moja matka. Zawsze była związana z rzeczywistością...

— Jesteś zdrow i twoje kłopoty to fikcja. Wystarczy, byś stawił czoła prawdzie, a zwie się ona narcyzm, który zakorzenił się w tobie ciut za głęboko.

— Ktoś powiedział kiedyś, że nazbyt siebie nienawidzę.

— Wystarczy stwierdzić, że nazbyt wpatrujesz się w siebie.

Bywało, że brał swego penisa w dłoń i wpatrywał się w niego czule.

— Jesteś jedynym moim przyjacielem. Jedynym przyjacielem, jakiego mam.

W myślach często przypisywał mu odrębną osobowość. Wesoły przyjaciel, dawca przyjemności. Trochę przy tym zuchwały i zawsze, niestety, wpędzający w kłopoty.

Srebrzyste krzyżyki pływające na powierzchni lśniącego morza.

Plum!

Drewniane krzyże padają z nieba.

Plusk!

Powierzchnia burzy się, a srebrne krzyżyki łamią się na kawałki.

— Czemuż niszcę wszystko, co kocham?
— Och, Boże! przestań mnie zadręczać tymi ckliwymi problemami. Nie jesteś już nastolatkiem. Karl, proszę!

Plum.

Przez pustynie Arabii wędrowałem, słońca niewolnik, Boga mego szukałem...

— Czas i osobowość to dwie wielkie tajemnice...
Gdzie jestem?
Kim jestem?
Czym jestem?
Gdzie jestem?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pięć lat wcześniej.

Prawie dwa tysiące lat w przyszłości.

Leżał z Moniką na rozgrzanym, przepoconym łóżku.

Raz jeszcze próba normalnego uprawiania miłości zamieniła się w przegląd co pospolitszych zbrodni i aberracji, które najwyraźniej sprawiały jej więcej satysfakcji niż metody tradycyjne.

Właściwa gra i spełnienie miały jednak dopiero nastąpić. Jak zwykle, słownie. I jak zwykle, miało się to skończyć orgazmem pod postacią wściekłej kłótni.

— Zapewne znów zamierzasz mi obwieścić, że nie zaznałeś spełnienia — w ciemności przyjęła od niego papierosa.

— Nie, w porządku.

Zaciągnęli się i na chwilę zapadła cisza.

Karl wiedział, do czego dojdzie, jeśli się teraz odezwie, ale mimo to, a może dlatego, palnął:

— To ciekawe, taka ironia losu, prawda?

Czekał na jej odpowiedź, która tym razem odwlekała się.

— Co niby?

— To wszystko. Spędzasz całe dnie, próbując pomóc różnym neurotykom i nauczyć ich radzić sobie z problemami seksualnymi, a nocami robisz wszystko to co oni.

— Aż tak to nie. Wszystko jest sprawą proporcji.

— To ty tak mówisz.

Obrócił głowę i spojrzał na jej twarz mającą w zaokiennym blasku gwiazd. Miała ostre rysy, rude włosy i łagodny, uwodzicielski głos psychiatry służb socjalnych. Był to głos spokojny, rzeczowy i nieszczerzy. Tylko chwilami, gdy szczególnie zapalała się w dyskusji, odzyskiwał swe prawdziwe brzmienie i ukazywał jej prawdziwy charakter.

Jej rysy zdawały się jednak nigdy nie łagodnieć, nawet kiedy spała. Zawsze zmęczone oczy były antytezą spontaniczności. Każdy cal swej osoby osłaniała pancerzem. Zapewne dlatego zwykła miłość dostarczała jej tak mało przyjemności.

Westchnął.

— Czy sęk nie tkwi w tym, że ty po prostu nie potrafisz się rozluźnić?

— Zamknij się, Karl. Jeśli już jesteś tak bardzo napalony na neurozy, to zacznij od

siebie.

Dość swobodnie używali w rozmowach terminologii psychiatrycznej. Oboje byli szczęśliwsi, gdy mogli coś nazwać po imieniu.

Odtoczył się od niej i sięgnął na nocny stolik po popielniczkę. Po drodze uchwycił swe odbicie w lustrze toaletki.

Był smutnym, żydowskim sprzedawcą książek, przy tym uczuciowym i ciągle napiętym. Głowę nabitą miał fantazjami i natrętnymi, niemożliwymi do rozplątania obsesjami, a ciałem jego targają sprzeczne namiętności. Dyskusje z Moniką zawsze kończyły się jego przegraną. Zawsze okazywała się w końcu stroną dominującą werbalnie.

Ten rodzaj zamiany ról wydawał mu się jeszcze większą perwersją niż ich wyczyny łóżkowe, gdzie zwykle przyjmował jednak rolę męską. Wydawało mu się wówczas, że jest z gruntu pasywnym masochistą, i to niezdecydowanym. Nawet gniew, który w tamtych dniach często dawał znać o sobie, był gniewem bezsilnym.

Monika była o dziesięć lat starsza od niego; o dziesięć lat bardziej zgorzkniała. Jako osobowość wykazywała o wiele więcej dynamizmu, tak przynajmniej uważał. Niemniej, w pracy często spotykały ją porażki. Zacięła się w uporze i stając się osobą pozornie coraz bardziej cyniczną, miała zapewne nadal cichą nadzieję na parę przynajmniej spektakularnych sukcesów z pacjentami.

Zbyt wiele chcieli zrobić, oto cały problem. Księża w konfesjonatach dostarczali tylko prostego panaceum; psychiatrzy próbowali leczyć i najczęściej przegrywali. Ale przynajmniej próbują, pomyślał, i zastanowił się, czy nie jest to jednak koniec końców, jakaś zasługa.

— Przyjrzałem się sobie — powiedział.

Spała?

Odwrócił się.

Oczy miała otwarte, zmęczonym wzrokiem wpatrywała się w okno.

— Przyjrzałem się sobie. Tak jak to zrobił Jung.

„Jak mogę pomóc tym ludziom, jeśli sam jestem osobnikiem przejawiającym skłonności ucieczkowe i zapewne również cierpię na *morbus sacer* lub jakąś neurozę?” Tak Jung zapytywał sam siebie...

— Stary zmysłowiec nieustannie usiłujący zracjonalizować własny mistycyzm. Nic dziwnego, że nigdy nie zostałeś psychiatrą. Z takim nauczycielem...

— Nie byłoby ze mnie pożytku. I to nie ma nic wspólnego z Jungiem...

— Nie mieszaj mnie do tego...

— Chciałem pomagać ludziom. Nie mogłem sam sobie poradzić. Powiedziałaś mi kiedyś, że czujesz to samo; że to nie ma sensu.

— Owszem, po tygodniu ciężkiej harówki mogłam tak powiedzieć. Daj mi jeszcze fajkę.

Otworzył następną paczkę i wsunął dwa papierosy między wargi. Zapalił oba i jednego jej podał.

Mimochodem zauważył, że napięcie z wolna narastało.

Kłótnia, jak zwykle, nie miała sensu. Ale to nie ona była najważniejsza — rozmowy te były odbiciem rzeczywistych stosunków, jakie ich łączyły. Zastanowił się, czy te stosunki miały chociaż jakiś sens.

— Nie mówisz prawdy. — Teraz było już za późno, by się wycofać; rytuał został przywołany, ceremonia się zaczęła.

— To jest prawda. Nic mnie nie zmusza do porzucenia mojej pracy. Nie mam ochoty obudzić się któregoś ranka z myślą, że jednak się pomyliłam...

— Pomyliłaś? Jesteś bardziej melodramatyczna niż ja!

— A ty traktujesz wszystko zbyt serio, Karl. Tak właściwie, to usiłujesz oszukać sam siebie.

— Na twoim miejscu — zaszydził — zaraz rzuciłbym tę robotę. Nie nadajesz się do niej bardziej niż ja.

Wzruszyła ramionami i sięgnęła po prześcieradło.

— Żałosny skurwiel.

— Nie zazdroszczę ci, choć możesz tak sądzić. Ty nigdy nie zrozumiesz, czego szukam. Roześmiała się sztucznie.

— Współczesny człowiek w poszukiwaniu duszy, co? Współczesny mężczyzna w poszukiwaniu krocza, o to raczej ci chodzi. A ty możesz je mieć, kiedy tylko zechcesz.

— Zniszczyliśmy mity, które były siłą motoryczną tego świata.

— A teraz powiesz: „I co stworzyliśmy na ich miejsce?” Jesteś głupi i zwapniały, Karl. Nigdy na nic nie potrafiłeś spojrzeć racjonalnie, ze swoją osobą włącznie.

— No i co z tego? Zawsze twierdzisz, że mit jest nieistotny.

— Rzeczywistość, która go kreuje, jest istotna.

— Jung wiedział, że również i mit może kreować rzeczywistość.

— Co dowodzi tylko, jakim był głupcem. Niepozbierany staruch.

Rozprostował nogi, dotykając jej przypadkiem i zaraz się wycofał. Podrapał się w głowę. Leżała nieruchomo paląc; teraz jednak się uśmiechała.

— Chodź — powiedziała. — Zróbmy coś na przekór Chrystusowi.

Nie odpowiedział.

Wręczyła mu peta; rozduśił go w popielniczce i spojrzął na zegarek.

Była druga nad ranem.

— Czemu to robimy? — spytał.

— Bo musimy.

Objęła jego głowę i przyciągnęła ją do swoich piersi,

— Co innego nam zostało?

Rozplakał się.

Miłosierna w swym zwycięstwie Monika głaskała czule po włosach i mruzczała coś uspokajająco.

Dziesięć minut później kochali się w dzikim zapamiętaniu.

Jeszcze kilka minut później znów się rozplakał.

Zdrada.

Zdradził siebie i tym samym został zdradzony.

— Chciałem tylko pomagać ludziom.

— Najpierw znajdź kogoś, kto tobie pomoże.

— Och, Moniko, Moniko.

My, protestanci, musimy prędzej czy później zadać sobie pytanie: Czy „naśladowanie Chrystusa” rozumieć mamy w tym sensie, iż należy kopiować jego życie i, że tak powiem, małpować jego stygmaty; czy też przyjąć głębszy sens tego nakazu, to znaczy starać się swoim własnym życiem żyć tak prawdziwie jak on, ze wszystkimi tego konsekwencjami? Nie jest sprawą łatwą żyć w taki sposób, jak czynił to Chrystus, nieporównywalnie trudniej jednak jest żyć własnym życiem równie uczciwie jak on. Ktokolwiek by tego spróbował, mógłby zostać... fałszywie osądzony, wyszydzony, poddany torturom. i ukrzyżowany... Neuroza polega na rozszczepieniu osobowości.

(Jung: Współczesny człowiek w poszukiwaniu duszy)

Samotny...

Jestem samotny...

— A zatem umarł. Nigdy za życia nie przysłał mi ani pensa. Nigdy nie przyszedł cię zobaczyć, a teraz zostawia ci interes.

— To księgarnia, mamó. Zapewne nie prosperowała najlepiej.
— Księgarnia! To do niego podobne. Księgarnia!
— Jeśli chcesz, to ją sprzedam, mamó, i dam ci pieniądze.
— Dziękuję bardzo — powiedziała z ironią. — Zatrzymaj ją sobie. Może wreszcie przestaniesz ode mnie pożyczać.
— Dziwne, że nie napisali do nas wcześniej.
— Mogli chociaż zaprosić nas na pogrzeb.
— Poszłabyś?
— Był moim mężem. I twoim ojcem.
— Pewnie nie mogli ustalić naszego adresu.
— Ilu Glogauerów mieszka w Londynie?
— No tak. Ale to dziwne, że nigdy z nim się nie kontaktowałam.
— A po co? Zresztą nie było go w książce telefonicznej. Jak się nazywa ta księgarnia?
— „Mandala”. To przy Great Russel Street.
— „Mandala”. Dziwna nazwa. Co to znaczy?
— Prowadził książki z dziedziny mistycyzmu, okultyzmu.
— No tak, to masz po nim, prawda? Zawsze uważałam, że wrodziłeś się w niego.

Poszedł obejrzeć książki ojca. Front sklepu był dość ciasny i zagracony półkami; na zapleczu piętrzyły się stosy książek sięgające sufitu. Między nimi skryte było niewielkie biurko.

W piwnicy książek było jeszcze więcej; wąskie przejścia między nimi przypominały labirynt.

Karl z rozpaczą pomyślał o porządkach.

Ostatecznie zostawił wszystkie książki tam, gdzie leżały, i przemeblował jedynie front sklepu, wstawił kilka swoich mebli na górę i to wystarczyło, by poczuł się jak na swoim. Po co było zmieniać tu cokolwiek?

Z czasem dokopał się do tomiku wierszy wydanych sumptem autora. Na okładce widniało imię i nazwisko: John Fry. Pracująca w sklepie dziewczyna powiedziała mu, iż napisał je jego ojciec. Karl przeczytał kilka — nie były dobre; nadęte, pełne wydumanej symboliki, ukazywały jednak osobowość tak podobną do jego własnej, że dalsza lektura wydała się zbyt ciężkim brzemieniem.

— To był zabawny staruszek — stwierdził gruby klient z podejrzanie czerwoną twarzą, który przyszedł kupić książki o obrządkach czarnej magii. — Na swój sposób zwariowany. Robił na mnie wrażenie kogoś o złej duszy, zawsze krzyczał na ludzi. A jakie kłótnie dolatywały z zaplecza! Znał go pan?

— Niezbyt dobrze — odpowiedział Glogauer, — A w ogóle to odpiardol się pan! Zjeżdżaj!

Po raz pierwszy Karl zrobił coś, co wymagało odrobiny odwagi. Uśmiechnął się, widząc, jak mężczyzna wypada ze sklepu.

Pierwsze kilka miesięcy w księgarni dodały mu poczucia własnej wartości i godności. Potem jednak nadeszły rachunki, pojawili się różni kłopotliwi klienci i cała duma z wolna uleciała.

Obudził się w jaskini.

— Nic tu po mnie — powiedział głośno. — Mój pobyt tutaj jest niemożliwy. Coś takiego jak podróże w czasie nie istnieje.

Nie przekonał siebie. Spał źle, męczyły go sny pełne wspomnień. Nie był nawet pewny, czy te wspomnienia odnosiły się do czegoś, co faktycznie przeżył. Może nigdy nie był w żadnym innym miejscu, żadnym innym czasie? Wstał, nałożył przepaskę i ruszył do wyjścia.

Poranne niebo było szare, słońce jeszcze nie wzeszło. Skierował się ku rzece; ziemia chłodziła mu stopy.

Pochylił się, by obmyć twarz i w ciemnej wodzie ujrzał swoje odbicie. Miał długie, skołtunione włosy, broda sięgała mu niżej niż sądził, oczy lekko lśniły szaleństwem. Niczym nie różnił się od esseńczyków. Niczym, oprócz myśli. Chociaż nie, wśród esseńczyków spotykało się ludzi o przedziwnych zaiste umysłach, przy których jego przekonanie o tym, że przybył z innego czasu nie wydawało się wcale czymś osobliwym.

Zadrżał, zlewając twarz zimną wodą.

Ale istniała przecież maszyna, wehikuł czasu. Widział ją wczoraj, to był dowód.

Nie, takie rozważania donikąd nie prowadziły. Donikąd, pomyślał prostując się. Nie można tak pobłażać samemu sobie.

Z drugiej strony, co zrobić z przekonaniem Jana, który widzi w nim wielkiego maga? Czy należało mu na to pozwolić, pozwolić, by wierzył, że Karl posiada dar jasnowidzenia? Czy był to sposób na odrodzenie wiary tych, którzy zwątpili, zbyt długo oczekując buntu?

Mniejsza z tym. Jest tutaj, stało się, co się stało i nie można temu zaradzić. Najważniejsze było przeżyć, by za rok być świadkiem Ukrzyżowania. Oczywiście, jeśli ono w ogóle się zdarzyło.

Czemu to właśnie Ukrzyżowanie stało się jego obsesją? Czy mógł to być jakikolwiek dowód popierający tezę o boskości Chrystusa? Oczywiście, nie, ale zawsze dałby Karlowi pewnośc, że to, w co ludzie tak wierzą, zdarzyło się naprawdę.

Czy Chrystus podobny był do Jana Chrzciciela? Czy może przypominał raczej zręcznego polityka działającego głównie w miastach i pozyskującego przyjaciół wśród establishmentu? Nie wiadomo, w każdym razie na pewno działał dyskretnie, bowiem Jan nic dotąd o nim nie słyszał, a to Jana przecież uznawano w większości przekazów za krewnego Chrystusa.

Może, myślał Glogauer, przystałem do niewłaściwego towarzystwa?

Uśmiechnął się i obrócił ku wiosce. Nagle poczuł się nieswojo. Miał przeczucie, że dziś właśnie zdarzy się coś dramatycznego, coś, co zadecyduje o jego losie. Z jakiegoś niejasnego powodu wzdragał się przed ochrzczeniem Jana. To nie było w porządku. Nie miał prawa pozować na wielkiego proroka.

Potaął czoło. Głowa go bolała i miał tylko nadzieję, że do spotkania z Janem dolegliwość minie.

Nasze narodziny są niczym innym jak snem tylko i zapominaniem...

(Wordsworth)

— Wszystkie wybory ról archetypicznych dokonywane są we wczesnym okresie życia — powiedział grupie. — Nie należy przy tym przeceniać znaczenia przydomka „archetypiczne”, bowiem w jednakowym stopniu dotyczy to wzoru urzędnika z Shepperton, jak wielkich postaci historycznych. „Archetypiczne” nie oznacza „bohaterskie”. Życie urzędnika bankowego nie różni się w aspekcie psychicznym od dowolnego innego życia, rola, w jakiej się widzi i którą stara się wypełnić jest dla niego równie ważna jak dla każdego. Kontekst może zwieść, owszem, zwodzi z pewnością tych, z którymi ów urzędnik żyje pracuje; on...

— Bzdura — powiedziała Sandra Peterson, gestykulując niezgrabnie masywnymi dłońmi. — To nie archetypy, tylko stereotypy...

— Czegoś takiego nie ma — odparował Glogauer. — To nieludzkie oceniać kogokolwiek w ten sposób...

— Nie wiem, jak to chcesz nazywać, ale powiem ci jedno, ci ludzie to zwykle szara przeciętność. To oni właśnie tworzą tę siłę, która nie pozwala nikomu wychylić się ponad mierność!

Glogauer był bliski też ze złości.

— Sandra, właśnie próbuję wyjaśnić...
— Pewna jestem, że zupełnie nie zrozumiałeś Junga — stwierdziła z całkowitą pewnością siebie.
— Przeczytałem wszystko, co napisał!
— Myślę, że Sandra ma rację — wtrąciła się pani Rita Blen. — Ale ostatecznie, zebraliśmy się tutaj po to, by dyskutować, prawda? A to jest temat.

Mogło się udać.
Tym razem dobrze obliczył czas.
W chwili, gdy Monika weszła do mieszkania nad sklepem, kurek był odkręcony. Zapach gazu wypełniał pokój. Karl leżał obok kuchenki.
Otworzyła okno i podeszła do niego.
— Boże, Karl, czy nie przesadzasz? Czego to ludzie nie robią, by zwrócić na siebie uwagę...
Roześmiał się.
— Jezu, aż tak łatwo mnie przejrzeć?
— Mam tego dosyć.
Nie zadzwoniła przez blisko dwa tygodnie. Dla Karla nie było jednak zaskoczeniem, gdy w końcu się odezwała. Starzała się i nie była zbyt atrakcyjna, na dodatek nie miała nikogo prócz Karla.
— Kocham cię, Moniko — szepnął, wpełzając do łóżka i układając się obok niej. Miała swój honor. Nie odpowiedziała.

Jan stał przed jaskinią i wzywał Glogauera.
— Już czas, magu.
Z wahaniem Karl wyszedł z jaskini i spojrzął błagalnie na Chrzciciela.
— Naprawdę chcesz tego, Janie?
Chrzciciel obrócił się i ruszył ku rzece.
— Chodź, czekają na nas.

— Moje życie to jedna wielka pomyłka, Moniko. Nic nie jest na swoim miejscu.
— To normalne, Karl.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*I oto oblicze twoje człowiecze
I ręce i stopy i oddech twój,
Przez Wrota Narodzin przechodzą, a przecież
To śmierć wita cię w bramie...*

(William Blake, *Jerusalem: Do Żydów*)

Jan stał zanurzony po pas w leniwych nurtach rzeki. Z brzegów świadkowali mu w milczeniu wszyscy esseńczycy.

Glogauer z trudem utrzymywał równowagę na podmokłym piasku przybrzeżnym. Spojrzał na Jana.

— Nie mogę — powiedział w niezgrabnie akcentowanym aramejskim. — Nie ja powinienem to zrobić.

Chrzciciel zmarszczył brwi.

— Musisz.

Glogauer wciągnął głęboko powietrze, oczy zaszyły mu łzami, gdy raz jeszcze spojrzał błagalnie na Jana.

Ale Chrzciciel nie okazywał mu miłosierdzia.

— Musisz. To twoja powinność.

Nie wiedząc już dokładnie, co czyni, Glogauer zszedł do niego. Trzęsąc się stanął obok Chrzciciela. Nie był w stanie zrobić ani ruchu więcej.

Stopa pośliznęła mu się na kamienistym dnie rzeki i Jan ujął jego ramię.

Na czystym niebie stało w zenicie prażące bezlitośnie słońce. Gorąca patoka lała się na niczym nie osłoniętą głowę Glogauera.

— Emmanuel! — zakrzyknął nagle Jan. — Duch Adonai jest z tobą!

Glogauer zamrugął zaskoczony.

— Co...? — spytał po angielsku.

— Duch Adonai jest z tobą, Emmanuel!

Glogauer nie mógł wykrztusić słowa. Potrząsnął lekko głową. Ból nie minął, co gorsza, narastał i teraz Karl ledwo mógł skupić na czymkolwiek spojrzenie. Miał atak migreny, pierwszy od przybycia.

Chciało mu się wymiotować.

Głos Jana brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka.

Karl zachwiał się.

Zaczął padać na Chrzciciela, obraz wkoło rozmazał się, zamigotał.

Poczuł, jak Jan chwyta go. Usłyszał swój własny rozpaczliwy szept:

— Janie, to ty winieneś ochrzcić m n i e!

Zaraz potem woda zalała mu usta, wdarła się do gardła. Rozkaszłał się.

Od dawna nie doznał takiej paniki; ostatnio chyba wówczas, gdy po raz pierwszy poszedł z Moniką do łóżka i już gotów był sądzić, że jest impotentem.

Jan coś krzyczał.

Cokolwiek to było, spowodowało żywą reakcję ludzi na brzegach.

W uszach Glogauera narastało zawrodoenie o zmiennym natężeniu. Kotłował się w

wodzie tak długo, aż poczuł, że ktoś stawia go na nogi.

Był przerażony i cierpiący. Zgiął się wpół, wymiotując do wody. Ręce Jana ścisnęły jego ramiona aż do bólu. Potykając się pozwolił, by wyprowadzono go na brzeg.

Zawiódł Jana.

— Przepraszam. Przykro mi. Przepraszam. Przykro mi...

Zaprześcił wszystkie jego nadzieje.

— Przepraszam. Przykro mi...

Raz jeszcze nie znalazł w sobie dość siły, by zachować się należycie.

— Przepraszam...

Dziwne, rytmiczne nucenie dobiegało z ust rozkołysanych esseńczyków; narastało, gdy przechylali się w jedną stronę, opadało, gdy zmieniali kierunek.

Glogauer zakrył uszy, ledwo Jan go puścił. Wciąż targały nim nudności, teraz jednak nie miał już czym wymiotować i to było jeszcze gorsze.

Z trudem utrzymując równowagę, oddalił się od nich. Biegł po kamienistym gruncie z zakrytymi ciągle uszami, pękającą głową w słońcu zlewającym go bezlitosnym żarem. Biegł, aby uciec.

Ale Jan odmawiał mu mówiąc: Ja potrzebuję chrztu od ciebie, a ty przychodzisz do mnie? A Jezus, odpowiadając, rzekł do niego: Ustąp teraz, albowiem godzi się nam wypełnić wszelką sprawiedliwość. Tedy mu ustąpił. A gdy Jezus został ochrzczony, wnet wystąpił z wody i oto otworzyły się niebiosa i ujrzał ducha bożego, który zstąpił w postaci gołębicy i spoczął na nim. I oto rozległ się głos z nieba: ten jest syn mój umiłowany, którego sobie upodobałem.

(Mateusz III: 14-17)

Miał piętnaście lat; w szkole szło mu całkiem nieźle. Czytywał wtedy w gazetach o gangach Teddy'ego Boya, które grasowały w Południowym Londynie, ale ta osobliwa młodzież, którą widział tu i ówdzie obnoszącą pseudoedwardiańskie stroje robiła wrażenie osobników głupich i niegroźnych.

Poszedł do kina w Brixton Hill. Do domu postanowił wrócić pieszo; większość przeznaczonych na bilet autobusowy pieniędzy wydał na lody.

Tamci wyszli z kina razem z nim. Zauważył ich tylko kątem oka. Ruszyli za nim.

Potem, zupełnie nagle, otoczyli go.

Bładzi chłopcy o tępych twarzach, w większości o rok czy dwa starsi od niego. Tak, znał ich z widzenia. Byli uczniami szkoły Zgromadzenia, która stała przy tej samej ulicy co jego ogólniak. Korzystali z jednego boiska.

— Cześć — powiedział słabo.

— Cześć, synu — powiedział najstarszy z bandy. Żuł gumę, odstawił jedną nogę i skrzywił się. — Dokąd to idziesz?

— Do domu.

— Do domu — powiedział najroślejszy, naśladując akcent Karla.

— A co zrobisz, jak już się tam znajdziesz?

— Pójdę spać.

Karl usiłował precyzyjnie się między nimi, ale nie chcieli go przepuścić.

Przyparli go do zamkniętych drzwi sklepu. Za ich plecami samochody warczały na jezdni. Ulica była jasno oświetlona lampami i neonami sklepowymi.

Minęło ich parunastu ludzi, ale nikt nie przystanął. Karl poczuł przypływ paniki.

— Nie masz lekcji do odrobienia, synu? — spytał typ stojący obok szefa, piegowaty rudzielec z ciemnoszarymi oczami.

— Chcesz się z nami bić? — zapytał inny. Tego Karl znał.

— Nie, nie chcę. Puśćcie mnie.

— Boisz się, synu? — dopytywał przywódca z krzywym uśmiechem. Ostentacyjnie wyciągnął z ust pasmo gumy, zwinął je, wpakował z powrotem między zęby. Nie przestawał się przy tym uśmiechać.

— Nie. Czemu miałbym się z wami bić? Ludzie w ogóle nie powinni walczyć...

— No, ale nie masz wielkiego wyboru...

— Posłuchajcie, jest już późno, muszę wracać...

— Ale starczy ci czasu na parę rundek...

— Powiedziałem wam. Nie chcę z wami walczyć.

— A, uważasz się za kogoś lepszego niż my, co, synu?

— Nie — zaczął się trząść. Łzy napływały mu do oczu. — Jasne, że nie.

— Jasne, że nie, synu.

Chciał się wyzwolić, ale pchnęli go z powrotem na drzwi.

— To ty jesteś tym typem ze szwabskim nazwiskiem? — spytał jeszcze jeden znany mu chłopak. — Glow-worm lub tak jakoś.

— Glogauer. Puśćcie mnie.

— Mamusia nie lubi, gdy wracasz późno?

— To bardziej żydowskie niż niemieckie nazwisko.

— Jesteś Żydkiem, synu?

— Wygląda na Żydka.

— Jesteś Żydkiem, synu?

— Jesteś Żydem, synu?

— Jesteś Żydkiem, synu?

— Zamknijcie się! — krzyknął Karl. — Czego ode mnie chcecie? Czemu się uwzięliście?

Rzucili się na niego. Któryś uderzył Karla w żołądek. Zwinął się z bólu. Inny pchnął go mocno.

Ludzie mijali ich, nie zwalniając kroku. Niektórzy spoglądali na chłopców, ale zawsze szli dalej.

Pewien mężczyzna zatrzymał się; żona zaraz pociągnęła go za sobą.

— Dzieciaki się tylko bawią.

— Opuśćcie mu spodnie — zaproponował któryś ze śmiechem. — Sprawdźmy.

Karl przepchnął się wreszcie. Tym razem mu nie przeszkadzali.

Pobiegł w dół, ze wzgórza, na którym było kino.

— Postraszmy go — rzucił któryś z chłopców.

Uciekał dalej.

Ruszyli za nim ze śmiechem i gwizdami.

Nie złapali go. W końcu skręcił w aleję, przy której mieszkał. Może wcale nie chcieli go złapać. Był cały czerwony na twarzy.

Dopadł domu i pobiegł ciemnym przejściem. Otworzył kuchenne drzwi. Matka była właśnie w kuchni.

— Co się stało?

Ciemne włosy miała w nieładzie.

Minał ją i wszedł do jadalni.

— Co się stało, Karl? — zawołała wysokim, nieprzyjemnym głosem.

— Nic.

Nie chciał sceny.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy się obudził, było zimno. W szarości przedświt nie mógł dostrzec niczego prócz rozpościerającego się we wszystkich kierunkach pustkowia. Nie pamiętał wiele z poprzedniego dnia; wiedział jedynie, że zawiódł w jakiś sposób Jana i że przebiegł spory kawał drogi.

W głowie czuł pustkę, nie mógł pozbierać myśli, na dodatek bolał go kark.

Rosa zebrała się na jego przepasce. Odwinął materię i zwilżył nią wargi, przetarł twarz.

Jak zwykle po ataku migreny był słaby, organizm uległ odwodnieniu, a umysł wyjąłowieniu.

Spojrzał na swoje wychudłe ciało.

— Wyglądam jak ofiara Belsen — pomyślał.

Zastanowił się, dlaczego właściwie wpadł w aż taką panikę, gdy Jan poprosił go o ochrzzczenie. Czy był to odruch uczciwości nie pozwalającej oszukiwać esseńczyków, który odezwał się niespodziewanie w ostatniej chwili? Nie potrafił na to odpowiedzieć.

Owinał się z powrotem przepaską i związał ją mocno nad lewym udem. Uznał, że najlepiej będzie wrócić po prostu do osady, odnaleźć Jana, przeprosić go i zobaczyć, czy nie da się jakoś wszystkiego naprawić.

A potem, być może, sprawy potoczą się tak jak powinny.

We wsi ponadto był wehikuł czasu. Gdyby udało się znaleźć dobrego kowala lub kogoś innego znajdującego się na obróbce metalu, to może dałoby się maszynę naprawić. Była to nikła nadzieja, bowiem nawet załatanie pęknięcia nie oznaczało naprawy mechanizmów ani bezpiecznej podróży.

Zastanowił się, czy powinien wracać od razu do domu, czy spróbować najpierw przenieść się do czasów bliższych Ukrzyżowaniu. Chciał doświadczyć atmosfery panującej w Jerusalemie w dniu Święta Wyjścia, kiedy to podobno Jezus miał wjechać do miasta.

Monika twierdziła, że Jezus na pewno wdarł się na czele uzbrojonego oddziału. Według niej, wszystkie poszlaki wskazywały właśnie na taki, a nie inny przebieg wypadków.

Pod pewnym względem trzeba było przyznać jej rację i Karl to uczynił, nie był jednak przekonany. To musiało być coś więcej, powtarzał z niezachwianą pewnością.

Gdyby tylko mógł spotkać Jezusa.

Jan najwyraźniej nigdy o nim nie słyszał, chociaż potwierdził, iż istnieje prorocstwo mówiące, że Mesjasz będzie Nazarejczykiem.

Prorocstw jednak zawsze było wiele, często przeczących sobie nawzajem.

Glogauer ruszył w kierunku, w którym, jak mu się zdawało, powinna znajdować się wioska esseńczyków. Nie mógł przecież odejść daleko.

Około południa zrobiło się o wiele goręcej, a okolica przybrała jeszcze bardziej jałowy wygląd. Poczucie wyczerpania, z którym się obudził, nasiliło się; skóra piekła, w ustach zaschło, nogi były jak z waty. Był głodny i spragniony, a nie miał niczego, co mógłby zjeść lub wypić. Nigdzie w polu widzenia nie mógł dostrzec ani śladu łańcucha wzgórz, między którymi skrywał się obóz esseńczyków.

Zgubił się, jednak nadmiernie się tym nie zmartwił, Jego umysł stał się niemal tak pusty jak otaczający go krajobraz. Jeżeli miały go tutaj spotkać koniec, wówczas łatwo byłoby przekroczyć granicę między życiem i śmiercią. Po prostu położyłby się i poczekał, aż jego ciało stopi się w jedno z brunatną ziemią.

Nie zastanawiając się nad tym co robi, ani dokąd zmierza, brnął przez pustynię.

W jakiś czas później dojrzał samotne wzgórze wznoszące się jakieś dwie mile na południe. Odzyskując na chwilę jasność umysłu, skierował się w tę stronę. Ze wzgórz może uda mu się dostrzec jakieś miasteczko, gdzie dadzą mu jeść i pić, a przede wszystkim będzie mo-

zna zorientować się w sytuacji.

Przetarł czoło i oczy; nawet dotknięcie własną dłonią było bolesne. Zaczął wspinać się na wzgórze.

Piaszczysta gleba zareagowała na mocniejsze stąpienie, wyrzucając chmurę pyłu. Tylko parę rachitycznych krzaków czepiało się skalistego podłoża, było ich jednak dość, by ciernie szybko porysowały mu kostki i nadgarstki.

Potykał się o kamienie i zanim doszedł do samego stoku wzgórza, był już poobijany i pokrwawiony.

Odpoczął przez chwilę, rozglądając się nieprzytomnie po pozbawionej wyrazu okolicy i ruszył dalej.

Droga do wierzchołka, który wznosił się o wiele dalej, niż to pierwotnie mogło się wydawać, nie była łatwa.

Wielokrotnie osuwał się razem z luźnymi kamieniami, padał na twarz, wbijał pokaleczone dłonie w kępy lichej trawy i porostów, gdy tylko mógł, wspierał się na większych kawałkach skał. Często odpoczywał, niemniej jego ciało i umysł były coraz bardziej otepiałe, zmęczone i obolałe.

Zapomniał już, po co się wspina; z determinacją godną ledwo odczuwającego pierwotniaka brnął tylko z uporem pamiętając, że musi dotrzeć na szczyt. Wspinał się jak chrabąszcz mający ten, a nie inny, jedyny cel w życiu.

Spływał potem w palących promieniach słońca. Pył przylepiał się do wilgotnego, niemal nagiego ciała, pokrywając go od stóp do głowy szarą skorupą. Opaska zwisała w strzępach.

Wkoło roztaczała się jałowa kraina, niebo stapało się z pyłem, żółta skała z białymi chmurami. Nie było żadnego stałego punktu oparcia.

Poczuł, że ześlizguje się, orząc skałę udem, objając głowę o kamienie.

Gdy wyhamował spadek, zaczął ponownie wspinaczkę, pełznąć krok za krokiem po gorących, palących stopy skałach.

Czas przestał istnieć, przestało istnieć wszystko poza tymi kamieniami. Po raz pierwszy mógł przekonać się o słuszności pewnych elementów teorii Headingtona, jednak świadomość i pamięć zniknęły również. Był jedynie obiektem pełzającym po zboczu.

Dotarł do wierzchołka i znieruchomiał.

Przez chwilę leżał, mrugając tylko oczami, potem powieki opadły.

Usłyszał głos. Monika. Poszukał jej nawet kątem oka.

Nie bądź melodramatyczny, Karl...

Często to mówiła. Teraz usłyszał swój własny głos, który jej odpowiedział.

— Urodziłem się nie w swoim czasie, Moniko. Wiek racjonalizmu to nie dla mnie. Nie ma tu dla mnie miejsca i prędzej czy później zapłacę za to życiem...

I znów Monika:

Wina i strach to twój własny masochizm. Mogłeś być świetnym psychiatrą, ale zająłeś się bez reszty własnymi odchylami...

— Zamknij się!

Przetoczył się na plecy. Słońce prażyło jego obolałe ciało.

— Zamknij się!

O właśnie, dokładny syndrom chrześcijaństwa. Nie jestem nawet skłonna wątpić, że w następnej kolejności zostaniesz katolickim neofitą. Gdzie podziewa się twoja zdolność myślenia?

— Zamknij się! Odejdź, Moniko!

Strach rządzi twymi myślami. Nie szukasz ani duszy, ani sensu życia, tylko wygod.

— Zostaw mnie, Moniko!

Brudnymi dłońmi zakrył uszy. Włosy i brodę szare miał od pyłu. Krew zaschła na ranach, które pokrywały teraz całe ciało. Ponad nim słońce łomotało unisono do wtóru bicia serca.

Zejdiesz teraz ze wzgórza, Karl. Rozumiesz? Na dół. Pozbieraj się do kupy. Nie jesteś jeszcze tak całkiem niezdolny do racjonalnego myślenia...

— Zamknij się, Moniko!

Jej głos był okrutny, skrzekliwy.

Parę kruków zataczało nad nim koła. Usłyszał ich nawoływania; odkrzyknął głosem zupełnie niepodobnym do własnego.

Bóg umarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku...

— To nie jest tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty, tylko dwudziesty ósmy Anno Domini. Bóg żyje!

Jak możesz zawracać sobie głowę rozmyślaniami nad tak synkretyczną religią jak chrześcijaństwo, w którym jest wszystko — rabiniczny judaizm, etyka stoików, greckie kultury pełne mistycyzmu, orientalne rytuały...

— To bez znaczenia!

Nie dla ciebie, jeśli weźmie się pod uwagę obecny stan twego umysłu...

— Potrzebuję Boga!

Do tego więc rzecz się sprowadza? Słabi ludzie zawsze tak kończą. Okay, Karl, ale spróbuj sam sobie pomóc. Pomyśl tylko, do czego byś doszedł, gdybyś zdołał pogodzić się z samym sobą...

Glogauer podźwignął obolałe ciało i stanawszy na równych nogach, wyprostował się i krzyknął.

Splószone kruki zatoczyły kilka kręgów i odleciały. Niebo ciemniało.

Wtedy Duch zaprowadził Jezusa na pustynię, aby kusił go diabeł. A gdy pościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy, wówczas łaknął.

(Mateusz IV: 1-2)

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Potykając się szaleniec wszedł do miasta.

Głowa jego uniesiona była ku słońcu; oczy jego były wywrócone i ukazywały białka; ręce jego zwisały po bokach, a usta poruszały się bezgłośnie.

Stopy jego wzbijały kurz, a psy szczekały za nim, gdy szedł krok za krokiem. Dzieci śmiały się z niego i rzucały za nim kamieniami, zaraz uciekając.

Szaleniec zaczął mówić.

Mieszkańcy miasta nie znali języka, którym przemawiał; czynił to jednak z taką pasją i przekonaniem, że wydawało się, jakby to sam Bóg wykorzystywał owo wychudzone i nagie stworzenie za pośrednika.

Mieszkańcy miasta zastanawiali się, skąd szaleniec do nich przybył.

Pewnego razu zatrzymało go kilku rzymskich legionistów. Z szorstką uprzejmością spytali go o krewnych, do których mogliby go odstawić. Zwrócili się do niego w łamanym aramejskim i byli zdziwieni, gdy odpowiedział dziwnie akcentowaną ale bardziej szlachetną niż ich własną, łaciną.

Spytali go, czy jest może rabinem albo uczonym, ale zaprzeczył.

Oficer zaproponował mu nieco suszonego mięsa i wina. Przyjął mięso i poprosił o

wodę, którą także dostał.

Legioniści należeli do patrolu, który przemierzał tę drogę raz w miesiącu. Byli krępi, o opalonych i gładko wygolonych, surowych twarzach. Mieli jednakowe skórzane spódniczki, napierśniki i sandały oraz żelazne hełmy; w pochwach przy boku nosili krótkie miecze.

Nawet stojąc koło niego w wieczornym słońcu, robili wrażenie napiętych. Oficer, mężczyzna o głosie nieco łagodniejszym niż jego podwładni, różnił się jeszcze tym, iż jego napierśnik był metalowy, a na ramionach miał narzucony długi płaszcz, zaś na hełmie powiewało pióro. Spytał szaleńca o imię.

Szaleniec zamarł na chwilę, otwierając i zamykając usta, jakby nie pamiętał własnego imienia.

— Karl — powiedział w końcu niepewnym głosem, jakby sam musiał zgadywać.

— Brzmi prawie jak imię rzymskie — stwierdził jeden z legionistów.

— Lub greckie — dodał inny. — Tutaj jest wielu Greków.

— Jesteś obywatelem? — spytał oficer.

Szaleniec jednak go nie słuchał, jego myśli wędrowały gdzieś daleko. Spoglądał w bok i mruczał coś do siebie.

Nagle odwrócił się ku nim i spytał:

— Nazaret. Gdzie jest Nazaret?

— W tamtym kierunku — oficer wskazał drogę przed sobą wijącą się i ginącą między wzgórzami.

Szaleniec przytaknął usatysfakcjonowany.

— Karl... Karl... Carlus... Nie znam... — Oficer ujął brodę mężczyzny i zajrzał mu w oczy. — Jesteś Żydem?

To najwyraźniej spłoszyło szaleńca.

Zerwał się na nogi i zaczął przepychać między żołnierzami. Przepuścili go ze śmiechem. W końcu był tylko niegroźnym szaleńcem.

Patrzyli, jak biegnie drogą w kierunku Nazaretu.

— To pewnie jeden z tych ich proroków — powiedział oficer, podchodząc do wierzchołka.

Ten kraj był ich pełen. Kogo by się tu nie spotkało, każdy głosił jakąś nowinę otrzymaną właśnie od Boga. Niemniej prorocy nie bywają kłopotliwi, a na dodatek religia odsuwa od nich myśli o buncie.

Powinniśmy za to być im wdzięczni, pomyślał oficer.

Jego ludzie wciąż się śmiali.

Pomaszerowali drogą w kierunku przeciwnym do tego, jaki obrał szaleniec.

Niedługo później spotkał grupę ludzi równie wychudzonych i wymizerowanych jak on. Odbywali jakąś bliżej nie określoną pielgrzymkę do miasta, o którym nigdy nawet nie słyszał. Podobnie jak esseńczycy, sekta ta domagała się ścisłego przestrzegania prawa Mojżeszowego, nie znała jednak tak ścisłej reguły. Głosiła również, iż dnia pewnego zstąpi na ziemię wysłany przez Boga król Dawid, który pomoże im wypędzić Rzymian i podbić Egipt, z niejasnych powodów utożsamiany z Rzymem i Babilonem.

Przyjęli go jak swego.

Został z nimi i szli razem przez kilkanaście dni, aż do pewnego wieczora, gdy rozłożyli się obozem na skraju drogi. Niespodziewanie z ciemności wychynął z tuzin mężczyzn w zbrojach i szatach o wiele wspanialszych niż rzymskie, natychmiast otaczając obozowiczów i skopując kociołki znad ognisk.

— Żołnierze Heroda! — krzyknął któryś z sekciarzy i zaraz rozległy się piski kobiet, mężczyźni zaś rzucili się do ucieczki. Nie minęła chwila, a przy ogniach zostały tylko dwie kobiety i szaleniec.

Dowódca żołnierzy miał ciemną, przystojną twarz i bujną, natłuszczoną brodę. Przyciągnął szaleńca za włosy i splunął mu w twarz.

— Czy jesteś jednym z tych buntowników, o których tyle słyszeliśmy?

Szaleniec mruknął coś i pokręcił przecząco głową.

Żołnierze odepchnęli go. Był tak słaby, że zaraz upadł.

Dowódca wzruszył ramionami.

— Niegroźny. Informacja była fałszywa, tu nie ma broni.

Spojrzał na kobiety i widać było, jak nad czymś się zastanawia. Odwrócił się do swoich ludzi.

— Jeśli któryś z was ma na nie ochotę, są wasze.

Szaleniec leżał nieruchomo i słuchał krzyków gwałconych kobiet. Czuł, że powinien podnieść się i jakoś im pomóc, ale nie miał siły, by się poruszyć, a poza tym śmiertelnie bał się żołnierzy. Chciał żyć. Musiał żyć, jeśli chciał dopiąć swego i osiągnąć cel wędrówki.

W końcu żołnierze Heroda odjechali i członkowie sekty zaczęli z wolna powracać.

— Co z kobietami? — spytał szaleniec.

— Nie żyją.

Ktoś sięgnął po świętą księgę i zaczął odczytywać z niej zawodzącym głosem słowa o zemście, prawości i karze zesłanej przez Pana.

Znajdujący się pod wpływem wstrząsu szaleniec zrazu popadł w apatię, a potem zasnął.

Rano opuścił sektę, gdyż szlak jej wędrówki, jak twierdził, nigdy nie zaprowadziłby go do Nazaretu.

Podążając rzymskimi traktami przechodził przez wiele miast — Philadelfię, Gerasę, Pellę i Scythopolis.

Zaczął każdego napotkanego podróżnika, by zadać jedno i zawsze to samo pytanie: Gdzie leży Nazaret?

Chciał być pewny, że znajduje się w drodze do Nazaretu.

Czasem częstowano go, czasem obrzucano kamieniami i przeganiano. Inni jeszcze prosili go o błogosławieństwo. Nigdy nie odmawiał, kładł na nich swe dłonie i przemawiał w dziwnym, obcym języku. W zamian otrzymywał jedzenie.

W Pelli uleczył niewidomą kobietę.

Jordan przebył po rzymskim wiadukcie. Podążał wciąż na północ: do Nazaretu.

Przez cały ten czas nie miał większych kłopotów z ustaleniem kierunku wędrówki, trudniej było zmusić się do marszu.

Stracił wiele krwi, jadł niewiele. Zwykle szedł naprzód tak długo, aż nogi odmawiały posłuszeństwa. Padał wtedy i leżał dopóki nie wróciła mu świadomość lub, jak zdarzało się coraz częściej, nie znalazł go ktoś gotów wspomóc jego ciało kwaśnym winem lub chlebem.

Po incydencie z żołnierzami Heroda stał się bardziej ostrożny i zawsze teraz podróżował sam, nie przyłączając się do żadnej spośród licznie napotykanych sekt.

Czasem pytano go:

— Czy jesteś prorokiem, na którego czekamy?

Potrząsał wówczas głową i powtarzał:

— Szukam Jezusa. Szukam Jezusa.

Białe miasto składało się głównie z jednopiętrowych i parterowych domów budowanych z kamienia i surowej cegły. Wzniesione zostało wokół rynku, do którego frontem stała stara, prosta synagoga. Siedzieli przed nią i rozmawiali starcy ubrani w ciemne szaty, z zawojami na głowach.

Miasto było zamożne i czyste i dzięki rzymskiemu prawu miało się z roku na rok coraz

lepiej. Tylko paru żebraków kręciło się po ulicach, a i oni byli dobrze odżywieni. Ulice wznosiły się i opadały, wiodąc po wzgórzach, na których miasto ongiś powstało. Były to kręte, ciche i cieniste uliczki, niemal o wiejskim charakterze.

W powietrzu unosił się wszechobecny zapach świeżego drewna i zewsząd dochodziły odgłosy prac stolarskich, jako że miasto sławne było ze swych świetnych cieśli. Leżało na skraju wyżyny Jezrael, blisko szlaku handlowego łączącego Egipt z Damaszkiem i wozy kupieckie zawsze opuszczały je pełne owoców pracy jego rzemieślników.

Miasto nazywało się Nazaret.

Szaleniec trafił do celu swej pielgrzymki.

Mieszkańcy spoglądali na niego podejrzliwie, gdy włókł się w kierunku rynku. Mógł być wędrownym prorokiem, mógł być opętany przez szatana. Mógł być żebrakiem lub na przykład członkiem sekty zelotów, którym nie zapomniano nieszczęścia sprowadzonego na Jerusalem czterdzieści lat wcześniej. Lud Nazaretu niechętny był buntownikom i fanatykom. Życie płynęło tu spokojnie, wygody były w cenie, a okupacja rzymska tylko przydała miastu świetności.

Gdy mijał grupki stojących przy straganach ludzi, wszyscy cichli i czekali, aż przejdzie. Kobiety ciaśniej otulały się grubymi, wełnianymi szalami, a mężczyźni, chcąc uniknąć przypadkowego nawet kontaktu z obcym, owijali się w bawełniane płaszcze. Normalnie zaraz zainteresowałoby się, jaki to interes sprowadza przybysza i spróbowaliby szczęścia w jakimś handlu, ale przenikliwość spojrzenia, ruchliwość jego twarzy i ostrość rysów, tak nie pasujące do mizernej postury, kazały traktować obcego z niejakim szacunkiem i trzymać się na dystans.

Gdy przybysz doszedł na środek rynku, zatrzymał się i rozejrzał. Z wolna zdawał się zauważać ludzi. Zamrugał i przesunął językiem po wargach.

— Czy to Nazaret? — spytał przechodzącą obok kobietę.

Głos miał łagodny, słowa wymawiał starannie.

— Tak — przytaknęła i przyspieszyła kroku.

Przez plac przechodził mężczyzna w wełnianej szacie w czerwone i brązowe paski. Na czarne, kręcone włosy nałożona była czerwona mycka. Twarz miał pulchną, serdeczną.

Szaleniec zaszedł mu drogę i zatrzymał.

— Szukam cieśli.

— Wielu jest cieśli w Nazarecie. To jest miasto cieśli! Sam jestem cieślą — mężczyzna był wyraźnie w dobrym humorze i miał ochotę porozmawiać. — Jak mogę ci pomóc?

— Czy znasz cieślę imieniem Józef? Z linii Dawida. Ma żonę imieniem Maria i kilkoro dzieci. Jedno z nich ma na imię Jezus.

Mężczyzna wykrzywił w grymasie twarz i podrapał się po karku.

— Znam więcej niż jednego Józefa. I wiele Marii... — spojrzał z zamyśleniem, nagle uśmiechnął się, natrafiając na właściwe skojarzenie. — Chyba wiem, kogo szukasz. Jeden taki mieszka przy tamtej ulicy — wskazał kierunek. — Ma żonę Marię. Spróbuj, powinieneś go znaleźć, chyba że wyszedł, by odnieść zamówienie. Szukaj mężczyzny, który się nigdy nie śmieje.

Szaleniec spojrzał w pokazanym kierunku. Gdy tylko odszukał ulicę, ruszył przed siebie, jakby zapominając o wszystkim innym.

W wąskiej uliczce zapach świeżego drewna był jeszcze silniejszy. Szaleniec brodził po kostki w trocinach.

Dzień był upalny, powietrze Nazaretu było jednak bardziej wilgotne niż na szlaku wędrowni i wszystko przypominało tu raczej jakiś piękny, leniwie płynący dzień angielskiego lata...

Serce szaleńca waliło głośno.

Ze wszystkich domów dobiegały uderzenia młotków, jęki pił. Obie strony uliczki zasta-

wione były opartymi o mury deskami i aż trudno było znaleźć między nimi przejście.

Szaleniec zatrzymał się. Trząśnięty ze strachu.

Wielu cieśli wystawiło warsztaty na zewnątrz. Posługując się prostymi tokarkami, nadawali drewnu wszystkie możliwe do wymyślenia kształty.

Szaleniec ruszył dalej.

Cieśle zerkali na obcego, gdy podchodził do starego mężczyzny w skórzanym fartuchu, siedzącego na ławie i rzeźbiącego jakąś figurynkę. Miał siwe włosy i wyglądał na krótkowzrocznego, bowiem z wysiłkiem przyjrzał się szaleńcowi.

— Czego chcesz? Nie daję jałmużny żebrakom.

— Nie jestem żebrakiem. Szukam kogoś, kto mieszka przy tej ulicy.

— Jak się nazywa?

— Józef. Ma żonę o imieniu Maria.

— Dwa domy dalej po przeciwnej stronie — wskazał ręką, w której trzymał na wpół ukończoną figurynkę.

Trząśnięty całym i pocił.

— Głupcze, to tylko...

O, Boże...

Pewnie okaże się, że nic nie wiedzą. To tylko zbieg przypadków.

Och, Boże!

Dom, który mu wskazano, otoczony był o wiele mniejszą liczbą desek, a i jakość drewna zdawała się gorsza. Stojąca obok wejścia ława była wypaczona, a siedzący na niej i reperujący jakieś narzędzie mężczyzna też nie był okazem zdrowia i tężyzny.

Wyprostował się, gdy szaleniec dotknął jego ramienia. Twarz miał poznaczoną niedolą, pomarszczoną, oczy spoglądały ze zmęczeniem, a broda jaśniała przedwczesną siwizną. Zakaszłał, pewnie ze zdziwienia, że ktoś mu przeszkadza;

— Ty jesteś Józef? — zapytał szaleniec.

— Nie mam pieniędzy.

— Niczego nie chcę. Mam tylko kilka pytań.

— Jestem Józef. Co chcesz wiedzieć?

— Czy masz syna?

— Kilku. I córki...

Szaleniec umilkł. Józef wpatrywał się w niego zaintrygowany. Przybysz czegoś się bał; Józef po raz pierwszy doświadczył czyjegoś strachu, po raz pierwszy ktoś się go lękał...

— O co chodzi?

Szaleniec potrząsnął głową.

— O nic — głos miał chrapliwy. — Twoja żona ma na imię Maria? Pochodzisz z linii Dawida?

Mężczyzna zachnął się.

— Tak, tak, co zresztą niczego dobrego mi nie przyniosło...

— Chciałem zobaczyć jednego z twoich synów, Jezusa. Masz takiego syna? Gdzie on jest?

— Nic ci z tego nie przyjdzie. Co tym razem zmalował?

— Gdzie jest?

W oczach Józefa pojawiło się wyrachowanie.

— Czy jesteś cudotwórcą? Przyszedłeś, by pomóc memu synowi?

— Do pewnego stopnia... Jestem prorokiem, potrafię przepowiadać przyszłość.

Józef wstał z westchnieniem.

— Nie mam wiele czasu. Muszę jak najszybciej ukończyć pracę i dostarczyć ją do Nain.

— Pozwól mi się z nim zobaczyć.

— Zobaczysz go. Chodź.

Poprowadził szaleńca przez bramę wprost na zagracone podwórko. Piętrzyły się tutaj kawałki drewna, połamane meble, narzędzia i worki gnijących trocin.

Weszli do mrocznego domu.

Szaleniec oddychał ciężko.

W pierwszym z pomieszczeń, które najwyraźniej było kuchnią, stała kobieta. Gotowała coś na wielkim glinianym piecu. Była wysoka i zaczęła już tyć. Miała luźno spływające na ramiona długie, czarne i tłuste włosy. Jej wielkie oczy lśniły zmysłowo. Potraktowała szaleńca jak powietrze.

— Widzę, że znalazłeś nowego, hojnego klienta — powiedziała ironicznie do męża.

— To prorok.

— Aha, prorok. I do tego pewnie głodny. Nie mamy nic do jedzenia dla żebraków i proroków, jakkolwiek się przedstawiają. — Wskazała drewnianą łyżką na skuloną w kącie postać. — Już to coś dosyć nas objada. — Postać poruszyła się, gdy spostrzegła, że to na nią pokazują.

— Szuka Jezusa — powiedział Józef. — Może będzie umiał ulżyć naszemu brzemieniu.

Kobieta spojrzała z ukosa na szaleńca i wzruszyła ramionami. Grubym językiem zwiłżyła wargi,

— Może... Jest w nim coś...

— Gdzie mogę go znaleźć? — spytał chrapliwie szaleniec.

Kobieta podłożyła dłonie pod piersi i poprawiła biust okryty brunatną suknią. Wytarła dłoń o materię i spojrzała na szaleńca spode łba.

— Jezus! — zawołała.

Postać w kącie uniosła się z wolna.

— To on — stwierdziła z widoczną satysfakcją.

Jak?

To niemo...

Jezus!

Przecież...

NIE!

Szaleniec zmarszczył brwi i gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie. Nie.

— Jakie „nie”? — spytała zrzędliwie. — Zresztą, rób co chcesz. Gdybyś tak mógł nauczyć go, by nie kradł... Lepszy już nie będzie, ale pewnego dnia może się zdarzyć, że ukradnie coś komuś, kto go nie zna, a wtedy zaczną się prawdziwe kłopoty...

— Nie...

Postać była zniekształcona. Zgarbione plecy, zez w lewym oku, pusta, głupia twarz, krople śliny na wargach.

— Jezus?

Postać zachichotała i zrobiła niezgrabnie krok do przodu.

— Jezus — powiedziała. Zabrzmiało to niewyraźnie i szorstko. — Jezus.

— To wszystko, co potrafi — stwierdziła kobieta. — Zawsze był taki.

— Kara boska — powiedział Józef.

— Zamknij się! — wykrzywiła się do męża.

— Co mu jest?

W głosie szaleńca brzmiała rozpacзлиwa nuta żalu.

— Zawsze był taki — kobieta odwróciła się do pieca. — Jeśli chcesz, to możesz go sobie zabrać. Niech idzie z tobą. Wykoślawiony w środku i na zewnątrz. Nosiłam go, gdy rodzice wydali mnie za to pół mężczyzny...

— Ty macioro! Bezwstydna... — Józef zamilkł, gdy jego żona znów się wykrzywiła, zachęcając, by ciągnął dalej. Próbując przynajmniej uratować dumę, uśmiechnął się do niej zjadliwie.

— Ładnie to sobie wymyśliłaś. Najstarsza wymówka świata! Nawiedzona przez anioła! To diabeł raczej nawiedził cię i posiadł!

— Tak, to był diabeł — warknęła. — I mężczyzna...

Ręce Józefa opadły na chwilę, zaraz jednak przypomniał sobie o strachu, jaki okazał przed nim szaleniec.

— Czego chcesz od naszego syna? — spytał tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Chciałem z nim porozmawiać. Ja...

— Nie mówi. I nie jest jasnowidzem. Myśleliśmy, że może chociaż to... Wciąż jeszcze są tacy w Nazarecie, którzy przychodzą, by go leczyć albo wróżyć, ale wciąż tylko chichocze i powtarza nieustannie swoje imię...

— Jesteście pewni, że nie jest z nim związane nic... niezwykłego? Coś, czego jeszcze nie rozpoznaliście?

— Jasne! — zakpiła Maria. — Gdyby potrafił cokolwiek takiego, dawno już byśmy wiedzieli. Dostatecznie brakuje nam pieniędzy...

Jezus znów zachichotał.

— Jezus — powiedział. — Jezus. Jezus.

Pokuśtykał do drugiego pokoju.

Józef pobiegł za nim.

— Tam nie wolno! Znów zmoczy podłogę!

Józef zniknął, Maria zaś raz jeszcze zmierzyła szaleńcu spojrzeniem.

— Jeśli potrafisz przepowiadać przyszłość, to musisz przyjść tu kiedyś i powróżyć mi. On wieczorem wyjeżdża do Nain...

Józef przyprowadził kalekę i posadził na stołku w kącie.

— I siedź tutaj, bękarcie!

Szaleniec potrząsnął głową.

— To niemożliwe...

Czy historia uległa zmianie?

Czy to było już wszystko? Z tego tylko wzięła się cała opowieść?

To niemożliwe...

Józef zdawał się zauważać błysk cierpienia, który pojawił się w oczach szaleńca.

— Co jest? Co widzisz? Mówiłeś, że potrafisz przepowiadać przyszłość. No, jak będzie się nam wiodło?

— Nie teraz — powiedział prorok odwracając się. — Jak mógłbym? Nie teraz.

Wybiegł z mrocznego domu prosto na słońce i uciekł pachnącą dębem, cyprysem i cedrem ulicą.

Niektórzy cieśle podnieśli wzrok. Złodziej? Spostrzegli, że niczego nie niósł.

Wrócił na rynek i stanął, rozglądając się nieprzytomnie.

Szaleniec, prorok, podróżnik w czasie, niedowarzony psychiatra i pacjent, poszukiwacz sensu i znaczeń, masochista, mężczyzna ogarnięty pragnieniem śmierci i kompleksem mesjasza; żywy anachronizm — Karl Glogauer błędził po rynku, ciężko łapiąc powietrze.

Ujrzał tego, kogo szukał. Ujrzał Jezusa, syna Marii i Józefa.

Ujrzał kogoś, kogo bez żadnych wątpliwości, zgodnie z nomenklaturą psychiatryczną można było określić jako zupełnego imbecyla.

Mężczyzna w czerwonej mycce krążył jeszcze po placu targowym; kupował garnki na prezent ślubny. Gdy obcy pojawił się w polu widzenia, wskazał na niego.

— To ten.

— Skąd jest?

— Nie mam pojęcia. Sądząc po akcencie, przybywa z dalszych okolic. Wygląda na to, że jest krewnym tego ponuraka Józefa. Wiesz, tego, którego żona...

Handlujący garnkami straganiarz uśmiechnął się ze zrozumieniem. Obaj patrzyli, jak obcy przysiada powoli w cieniu pod ścianą synagogi.

— Kim jest? Fanatykiem religijnym, zelotą czy jak?

— Ma spojrzenie proroka. Ale na pewno nie wiem. Może po prostu znalazł się w ciężkich tarapatach i szuka pomocy u krewnych...

— U Józefa! Nie ma co! — roześmiał się handlarz.

— .Może został wypędzony z domu? — dopytywał mężczyzna w czerwonej mycce. — Kto wie? Sądząc po tym jak szybko wrócił, to Józef mu chyba nie pomógł.

— I teraz nie ma dokąd iść — stwierdził stanowczo sprzedawca garnków.

Aż do zmroku przesiedział pod ścianą synagogi. Zaczął odczuwać głód i, po raz pierwszy od ponad miesiąca, żądzę. Zupełnie, jakby požądanie miało być ratunkiem wypierającym z jego biednej głowy to, co widział.

Wstał powoli i krok za krokiem skierował się z powrotem w wąską uliczkę.

O tej porze była już cicha i pusta. Tylko gdzieś z domów dobiegały jakieś głosy, czasem zaszczekał pies.

Doszedł do domu Józefa. Lawa zniknęła, drewna nie było.

Zastukał w zamkniętą furtkę.

Nic.

Zapukał raz jeszcze, głośniejsze, ledwo rozumiejąc, czemu stara się zachowywać dyskretnie.

Furtka otwarła się. Ujrzał twarz Marii. Uśmiechnęła się do niego szeroko, porozumiewawczo.

— Wejdz. On już dawno wyjechał do Nain.

— Głodny jestem.

— Dam ci jeść.

Coś poruszało się w ciemności kuchni, ale szaleniec nie zwrócił na to uwagi. Przeszedł do drugiego pokoju, w którym paliła się lampa. Do otworu w suficie była przystawiona drabina.

— Zaczekaj tu. Przyniosę coś do jedzenia.

Kilkakrotnie chodziła tam i z powrotem, przynosząc z kuchni wodę, by mógł się obmyć, potem talerz suszonego mięsa, chleb i dzban z winem.

— To wszystko, co mamy.

Spojrzała na jego ciemną, smutną twarz. Spłukał kurz, uczesał włosy i brodę. Wyglądał teraz całkiem możliwie. Przymykał jednak oczy jedząc i nie patrzył wprost na Marię, która oddychała coraz głośniejsze. Z każdą chwilą trudniej było jej opanować żądzę rozpalającą jej wielkie ciało. Uniosła spódnicę ponad łydki i rozłożyła szeroko nogi, siadając na stołku obok szaleńca.

Ten przeżuwał powoli, teraz jednak patrzył na nią, na jej ciało.

— Pospiesz się — powiedziała.

Skończył jeść i pośpiesznie dopił ostatek wina.

Zaraz potem była już przy nim, a jej dłonie zdzierały z niego strzępy opaski, palcami sięgała mu do genitaliów, ustami do twarzy; jej wielkie ciało falowało.

Szaleniec wciągnął gwałtownie powietrze i uniósł jej spódnicę, wpychając palce do jej wnętrza. Kołysał się na niej, aż stoczyli się oboje na podłogę, gdzie gorączkowo rozepchnął jej nogi.

Jęknęła, krzyknęła, warknęła, zadrżała, wpiła się w niego paznokciami, a potem leżała już nieruchomo, gdy on wpychał się w nią głęboko, poruszał się tam i z powrotem. Ale żądza szybko zniknęła i nie mógł skończyć. Westchnął i nagle podniósł głowę.

W drzwiach stał idiota. Przyglądał się im z pustym grymasem na twarzy i śliną ściekającą po brodzie.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

A Słowo ciałem się stało i zamieszkało wśród nas.

(Jan I:14)

Każdego wtorku w wolnym pokoju nad księgarnią „Mandala” zbierała się grupa zapalonych jungistów, by oddać się dyskusji nad spornymi punktami doktryny, a czasem również terapii grupowej połączonej z autoanalizą.

Glogauer nie był organizatorem grupy, ale gdy już się zawiązała, z ochotą się przyłączył. Cotygodniowe spotkania z ludźmi o podobnych umysłach były relaksującym przeżyciem.

Zainteresowanie Jungiem było tym, co ich zbliżało, każdy jednak miał swoją własną obsesję. Pani Rita Blen, na przykład, sporządzała namiętnie mapki przelotów latających talerzy, nie było tylko jasne, czy wierzyła w nie, czy nie. Hugh Joyce przekonany był, że wszystkie jungowskie archetypy wywodzą się jeszcze z Lemurii, która tysiące lat temu zapadła w fale oceanu. Alan Cheddar, najmłodszy członek grupy, skupił się na hinduskim mistycyzmie, Sandra Peterson zaś, organizatorka grupy, była specjalistką od czarownic.

James Headington ogarnięty był obsesją czasu. Sir James Headington — wynalazca z lat wojny, bardzo bogaty, odznaczony prestiżowymi orderami mającymi wyrazić wdzięczność monarchii za wkład w zwycięstwo aliantów, był dumą grupy. Miał reputację wielkiego improwizatora i jako taki był podczas wojny bardzo pomocny, gdy tylko jednak się skończyła, stał się utrapieniem Ministerstwa Wojny. Uważano go za dziwaka, który na dodatek obnosi się ze swym szaleństwem w towarzystwie.

Sir James miał szczupłą, arystokratyczną twarz (choć urodził się gdzieś w Norwood, w rodzinie przynależącej do klasy średniej), wąskie, zaciśnięte usta, szopę białych włosów i ciężkie, czarne brwi. Nosił zawsze stare garnitury i nad wyraz kwieciste koszule i krawaty. Przy każdej okazji opowiadał o postępach w pracy nad wehikułem czasu, który podobno budował. Pozostali członkowie grupy pozwalali mu na to. Większość z nich nie potrafiła powstrzymać języka, gdy przychodziło do dyskusji nad indywidualnymi zainteresowaniami i miała przy tym skłonność do przesadzania.

Pewnego wtorkowego wieczoru, gdy wszyscy inni już sobie poszli, Headington spytał Glogauera, czy ten nie miałby ochoty wybrać się do Banbury i rzucić okiem na laboratorium sir Jamesa.

— Jestem w trakcie szczególnie ciekawych i widowiskowych eksperymentów. Na przykład przesyłam w czasie króliki. Musisz to zobaczyć.

— Nie mogę uwierzyć. Naprawdę potrafisz coś przemieszczać w czasie?

— Tak. I ty jesteś pierwszy, który się o tym dowiaduje.

— Ale ja nie wierzę! — I faktycznie nie wierzył.

— No to chodź ze mną i sam zobacz.

— Czemu właśnie ja?

— Och, sam nie wiem. No, pewnie cię lubię.

Glogauer uśmiechnął się.

— A więc dobrze. Zajrzę do ciebie. Kiedy najlepiej?

— Kiedy tylko zechcesz. A może przyjedziesz w piątek i zostaniesz na weekend?

— Nie będę ci przeszkadzał?

— Ani trochę!

— Mam dziewczynę...

— Hmmm — Headington niezupełnie wiedział, co powiedzieć. — Nie chciałbym, żeby ta wiadomość rozniosła się wszędzie...

— To przyjadę bez niej.

— O, dobrze! Złap pociąg o szóstej dziesięć z Paddington. Spotkamy się na stacji. Do zobaczenia w piątek.

— Do zobaczenia.

Glogauer patrzył za nim, a gdy sir James już się oddalił, Karl wykrzywił usta w uśmiechu. Staruszek miał chyba lekkiego bzika. W swoim laboratorium zgromadził pewnie masę drogiej elektroniki i tyle, z drugiej jednak strony, weekend z dala od Londynu to też jest coś. Poza tym, może jednak warto sprawdzić, co właściwie dzieje się w tym Banbury?

Headington okazał się posiadaczem starego probostwa w wiosce oddalonej o dwie mile od samego Banbury, Postawione osobno budynki laboratoriów były całkiem nowe.

Zatrudnił dwóch młodych asystentów, którzy własni« wychodzili, gdy służący wprowadził Glogauera do głównego budynku.

Tak jak tego oczekiwał, wewnątrz było składowiskiem wszelkiego rupiecia, oplecionego drutami i przewodami zwieszającymi się w długich splotach.

— Tędy — Headington poprowadził Glogauera za ramię do nieco bardziej cywilizowanej części laboratorium. Na szerokiej ławie stało kilka połączonych drutami czarnych skrzynek. Pośrodku widniała jeszcze jedna, srebrnoszara.

Headington spojrzął na zegarek, po czym zlustrował tarcze umieszczone w czarnych skrzynkach.

— A teraz popatrzmy — sprawdził jeszcze kilka różnych przyrządów i z sąsiedniego pokoju, w którym stały klatki, przyniósł wyrwijącego się białego królika. Umieścił go w srebrzystej skrzynce, pomanipulował trochę tym i owym, raz jeszcze zajął się tarczami i obrócił duży przełącznik przymocowany do ławy. — Zasilanie — wyjaśnił.

Glogauer zamrugał. Powietrze zdało się przez chwilę mętne. Srebrzysta skrzynka zniknęła.

— Wielki Boże!

Headington zachichotał.

— Widzisz? Przemieścił się w czasie!

— Zniknął — zgodził się Glogauer. — Ale to jeszcze nie dowodzi, że przeniósł się do przyszłości.

— Oczywiście. W rzeczy samej wyruszył w czas przeszły. Jak na razie nie jestem w stanie dotrzeć do przyszłości.

— Chciałem powiedzieć, że samo zniknięcie nie oznacza jeszcze przemieszczenia w czasie.

— A gdzie niby miał się podziać? Uwierz mi, Glogauer. Królik powędrował setki lat wstecz.

— A skąd wiesz?

— Robiłem próby na małych odcinkach czasu. Mogę wysłać dowolny przedmiot w przeszłość i to precyzyjnie ustawiając datę. Uwierz mi.

Glogauer skrzyżował ramiona.

— Wierzę, sir James.

— To początek wielkiego odkrycia, wielkiej rewolucji w nauce. Móc wysłać ludzi w przeszłość... Kłopot tylko w tym, że sama podróż jest dość przykra... Popatrz... — Dotknął

bolca w najbliższej czarnej skrzynce. Srebrzysta skrzynia pojawiła się zaraz na swoim miejscu. Glogauer dotknął jej: była gorąca.

— O właśnie — Headington sięgnął do środka i wyciągnął królika. Łebek miał zakrwawiony, wyglądał, jakby część kości była połamana. Żył, lecz niewątpliwie okropnie cierpiał. — Rozumiesz, o co mi chodzi? Biedne stworzenie.

Glogauer odwrócił się.

Wrócili do gabinetu i Headington zaczął rozwlekle opowiadać o swych eksperymentach, uznając, że Glogauer zna podstawową terminologię fizyczną. Glogauer czuł się zbyt zaszczycony tym wyróżnieniem i zaufaniem, by nadmienić, że o fizyce wie tyle, ile zapamiętał ze szkoły, siedział zatem przez kilka godzin jak na kazaniu, przytakując tylko z inteligentną miną za każdym razem, gdy Headington szczególnie się do czegoś zapalał.

Potem zaprowadzono go do sypialni — pokoju wyłożonego dębową boazerią, z szerokim, wygodnym nowoczesnym łóżkiem.

— Dobranoc — pożegnał go Headington.

W nocy Glogauer obudził się i ujrzał jakąś postać siedzącą na skraju łóżka. Był to Headington — nagi, z ręką na ramieniu Karla.

— Nie chciałbym... Przypuszczam... — zaczął Headington.

Glogauer potrząsnął głową.

— Przykro mi, sir James, ale nie.

— No cóż. No cóż. Trudno...

Wyszedł niezwłocznie, a ledwo drzwi się za nim zamknęły, Glogauer zaczął się onaniżować.

Headington zadzwonił do niego kilka dni później, by spytać, czy nie zechciałby raz jeszcze odwiedzić go w Banbury, jednak Glogauer uprzejmie odmówił.

— Rozwiązujemy teraz kilka pomniejszych problemów — powiedział Headington. — Na przykład, jak uchronić podróżnika. Niemniej i tak zapewne nikt z moich pracowników nie zechce poddać się próbie. Nie miałbyś może na to ochoty, Glogauer?

— Przepraszam, ale nie.

Następne kilka tygodni upłynęło Glogauerowi pod znakiem różnych kłopotów. Przede wszystkim Monika zaczęła zjawiać się coraz rzadziej, a gdy już przychodziła, to nie miała specjalnej ochoty na jakąkolwiek miłość.

Którejś nocy Karl stracił cierpliwość i w ataku wściekłości zażądał wyjaśnień.

— Co się z tobą dzieje? Zimna jesteś jak ropucha!

Wytrzymała pół godziny takiego gadania.

— Jeśli już chcesz wiedzieć, to ci powiem — oznajmiła wreszcie zmęczonym głosem. — Mam kogoś.

— Co? — Karl uspokoił się natychmiast. — Nie wierzę. — Zawsze był pewny, że nikt prócz niego nie zainteresuje się Moniką. O mało co wypowiedziałby to głośno, ale zdołał się powstrzymać.

— Kim on jest?

— To ona. Dziewczyna ze szpitala. To zupełnie co innego.

— O Boże!

Monika westchnęła.

— Co za ulga. Naprawdę. Jest zupełnie inaczej i chociaż nie mam z tego aż tak wiele, to przynajmniej odpoczywam od ciebie, Karl, i twojego niezrównoważenia emocjonalnego. Byłam już tym zmęczona i chciało mi się rzygać.

— To czemu mnie od razu nie zostawiłaś? Czy to jakiś kompromis?

— Przypuszczam, że nie utraciłam jeszcze nadziei. Wciąż skłonna jestem ufać, że jest w

tobie coś wartościowego i tylko muszę to odkryć i ukształtować. Najpewniej jestem po prostu głupia.

— Co ty chcesz mi zrobić? — zaczął wpadać w histerię.

— Co... Co to ma...? Zdradziłaś mnie!

— To żadna zdrada, Karl. To tylko nędzne wakacje, odpoczynek...

— Jeśli tak, to możesz sobie zrobić z nich normalne życie i niech tak już zostanie — skoczył, by pozbiierać jej ubranie. — Odpierdol się ode mnie, dziwko! — wrzasnął i rzucił jej całą garderobę.

Wstała zrezygnowana i zmęczonymi ruchami zaczęła się ubierać.

Gdy była już gotowa, otworzyła drzwi. Karl płakał na łóżku.

— Cześć, Karl.

— Odpierdol się!

Drzwi się zamknęły.

— Dziwka! Suka!

Następnego ranka zadzwonił do sir Jamesa Headingtona.

— Namyśliłem się — powiedział. — Zrobię, o co prosisz. Będę królikiem doświadczalnym. Tylko jeden warunek.

— Tak?

— Sam wybiorę czas i miejsce.

— W porządku.

Tydzień później płynęli wycarterowanym statkiem na Bliski Wschód. Po upływie następnego tygodnia Karl Glogauer opuścił rok 1970 i zjawił się w 28 roku naszej ery.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W synagodze było chłodno i cicho. W powietrzu unosił się subtelny zapach kadzidła. Ubrany w białą szatę otrzymaną nad ranem od Marii, pozwolił rabinom, by zaprowadzili go na podwórzec. Podobnie jak inni mieszkańcy miasta, także oni nie bardzo wiedzieli, co z nim zrobić, byli jednak pewni, że to nie diabeł go opętał.

Od czasu do czasu spoglądał na swe ciało lub dotykał koniuszkami palców szaty i czynił to ze zdziwieniem, jakby doznawał wszystkiego po raz pierwszy. Prawie zapomniał o Marii.

— Wszyscy ludzie mają kompleks mesjasza, Karl — powiedziała kiedyś Monika.

Pojawiły się porwane wspomnienia — jeśli rzeczywiście były wspomnieniami, a nie majakami. Stracił wszelką pewność.

— W owym czasie wędrowały po Galilei tuziny mesjaszów. To, że Jezus stał się tym jedynym, który poniósł mit i związaną z nim filozofię przez stulecia, to czysty zbieg okoliczności... Przypadek historii...

— Musiało być jeszcze coś więcej, Moniko.

Rabini mieli w zwyczaju dawać schronienie wędrownym prorokom, których wielu błędziło wówczas po Galilei. Odstępowali od tego tylko wówczas, jeżeli któryś należał do jednej z sekt wyjętych spod prawa.

Ten jednak był osobliwszy niż wszyscy, których dotąd spotkali. Twarz miał stężoną, ciało sztywne i łzy często płynęły mu po twarzy. Nigdy dotąd nie zdarzyło im się widzieć w ludzkich oczach tyle cierpienia.

— Nauka może odpowiedzieć na pytanie „jak”, ale nigdy nie wyjaśnia „dlaczego” — powiedział kiedyś Monice. Na to pytanie nie jest w stanie udzielić odpowiedzi.

— A komu niby na niej zależy?

— Ja chciałbym to wiedzieć.

— A zatem nigdy się nie dowiesz.

Suka! Zdrajczyni! Dziwka!

Dlaczego zawsze wszyscy go opuszczają?

— Usiądź, mój synu — poprosił rabin. — O co chciałbyś nas spytać?

— Gdzie jest Chrystus?

Nie rozumieli jego mowy.

— To grecki? — spytał któryś, ale inny zaprzeczył ruchem głowy.

Kyrios: Pan.

Adonai: Pan.

Gdzież był Pan?

Rozejrzał się i zmarszczył brwi.

— Muszę odpocząć — stwierdził, tym razem w ich języku.

— Skąd jesteś?

Nie mógł znaleźć odpowiedzi.

— Skąd jesteś? — powtórzył! rabin.

— *Ha-Olam Hab-Bah*... — wymamrotał w końcu.

Kapłani spojrzeli po sobie.

— *Ha-Olam Hab-Bah* — powtórzyli.

Ha-Olam Hab-Bah; Ha-Olam Haz-Zeh: świat, który nadejdzie i świat, który jest.

— Czy przynosisz wieści? — spytał jeden z rabinów. Przywykł, rzecz jasna, do nawiedzonych, ale nie do takich. Gotów był niemal uwierzyć, że tym razem ma do czynienia z prawdziwym prorokiem. — Wieści?

— Nie wiem — odparł prorok chrapliwie. — Muszę odpocząć. Brudny jestem, zgrzeszyłem.

— Chodź, nakarmimy cię, będziesz miał dach nad głową. Pokażemy ci, gdzie można się wykapać, gdzie jest miejsce do modlitwy.

Służący przyniósł gorącą wodę, by mógł się obmyć. Wyczesali mu brodę i włosy, przycięli paznokcie.

Potem trafił do przydzielonej mu przez rabinów celi, gdzie dostarczono mu jadła. Zdołał zjeść tylko trochę. Wypchany trawą materac był dla niego za miękki. Odwykł od wygod. W domu Józefa nie zaznał jednak snu, zatem teraz szybko usnął.

Spał źle, krzyczał, rzucał się. Nad słuchujący pod drzwiami celi rabini nic prawie z jego słów nie rozumieli.

— Spośród wszystkich przedmiotów, jakie studiowałeś, aramejski był tym, którego wybór zaskoczył mnie najbardziej. Nic dziwnego, że...

Diable mój, kusicielko moja, pożądanie moje, krzyżu mój, moja miłości, żądzo moja, pragnienie moje, światło życia mego, kotwico moja, nauczycielko, niewolniku mój, ciało moje, moje zaspokojenie i zgubo.

Do dni wszystkich miłości pełnych, które być mogły, gdybym dość siły znalazł w sobie;

do Ewy i tych, które nie chciały mnie przez mą słabość; do nagród oczekujących na odważnych; do uroków tego świata przeznaczonych mocnym duchem — tęsknię. Oto ironia ostateczna.

Ironia jednoznaczna, nieunikniona i sprawiedliwa.
I nie doznaję zaspokojenia.

Karl Glogauer został w synagodze przez kilka tygodni. Większość czasu spędzał w bibliotece, gdzie w długich zwojach poszukiwał rozwiązania swego dylematu. Słowa *Testamentów* dopuszczały w wielu przypadkach mnogość interpretacji i tylko zamąciły mu w głowie. Nie było czego się uchwycić; nic nie podpowiadało, dlaczego spotkała go porażka.

To czysta komedia. Czy na to właśnie sobie zasłużyłem? Czy nie ma nadziei? Nie ma rozwiązania?

Rabini zwykle zachowywali wobec niego spory dystans. Zaakceptowali go jako świętego męża i dumni byli z tego, że wybrał ich synagogę. Opanowała ich pewność, iż oto mają do czynienia z wybranym Bogu i cierpliwie czekali, aż do nich przemówi.

Prorok jednak odzywał się rzadko, najczęściej tylko mruczał coś do siebie, niekiedy używając przy tym owego nieporównywalnego z niczym języka i to nawet wówczas, gdy zwracał się bezpośrednio do nich.

W tym czasie lud Nazaretu nie mówił prawie o niczym innym jak tylko o tajemniczym proroku z synagogi. Wiedziano zaledwie, że jest on krewnym Józefa, Józef zaś z dumą potwierdzał to przy każdej okazji. Wiedziano również, że Józef pochodzi z linii Dawida i było to ważniejsze niż wszystkie wady, które przejawiał jako człowiek i cieśla. A zatem, jak uznano, prorok też był z linii Dawida. Wszyscy zgodnie przyznawali, iż jest to znak pełen znaczenia.

Wypytywanie rabinów nie na wiele się zdało. Mędrcy odpowiadali jedynie, że są rzeczy, które nie są im jeszcze wiadome i niech może ciekawi zajmą się lepiej swoimi sprawami. W ten sposób, jak zwykli to czynić wszyscy kapłani, unikali pytań, na które nie byłoby w stanie odpowiedzieć, udając równocześnie, iż wiedza ich jest o wiele rozleglejsza niż w rzeczywistości.

Potem, w pewien szabas, obcy pojawił się w dostępnej dla wszystkich części synagogi i zajął miejsce wraz z innymi, którzy przybyli na nabożeństwo.

Mężczyzna siedzący po jego prawej i odczytujący głośno zwój, zerkał co chwilę na proroka.

Prorok siedział bez ruchu i słuchał. Był zupełnie bierny.

Arcykapłan spoglądał na niego niezdecydowanie, aż w końcu dał znak, iż zwój winien zostać przekazany prorokowi i tak się stało. Jeden z chłopców z wahaniem złożył zwój w dłonie proroka.

Ten wpatrywał się dość długo w pismo i już wydawało się, że odmówi. Potem wyprostował się i zaczął czytać głosem czystym, niemal bez śladu normalnego dłań, obcego akcentu. Była to księga Izajasza.

Ludzie słuchali z uwagą.

Duch Pański nade mną, przeto namaścił mnie, abym zwiastował ubogim dobrą nowinę, posłał mnie, abym ogłosił jeńcom wyzwolenie, a ślepych przejrzenie, abym uciśnionych wypuścił na wolność, abym zwiastował miłościwy rok Pana. I zamknąwszy Księgę, oddał ją służce i usiadł. A oczy wszystkich w synagodze były w niego wpatrzone.

(Łukasz IV: 18-20)

Potem Glogauer nie wznowił już studiów nad *Testamentami*, chodził tylko po ulicach i

rozmawiał z ludźmi. Odnosili się do niego z szacunkiem, próbowali zasięgać rad w najróżniejszych sprawach, a on pomagał im jak mógł.

Poza paroma pierwszymi tygodniami spędzonymi z Ewą nigdy nie zaznał czegoś podobnego.

Postanowił, że nie pozwoli, by po raz drugi spotkała go porażka.

Proszono go, by przykładął swe dłonie do ciał chorych; z początku wahał się i odmawiał. W końcu jednak, gdy sądząc po wszystkich objawach, spotkał się z przypadkiem historycznej ślepoty, przytknął dłonie do powiek kobiety i ślepotą jej ustąpiła.

Mimo wszystko wrócił do celi podekscytowany; większość chorób, na które tu cierpiano, miała podłoże nie somatyczne, ale nerwicowe.

Zapewne był to wynik niepokoju tak często nawiedzających tę epokę, być może czego innego. Nie zastanawiał się zbyt długo. Później będzie się martwił tym wszystkim.

Następnego dnia ujrzał na rynku Marię. Prowadziła ze sobą bękartą.

Glogauer odwrócił się pośpiesznie i wrócił zaraz do synagogi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Podążali za nim, gdy wyszedł z Nazaretu w kierunku Jeziora Galilejskiego. Ubrany był w białą, płócienną szatę otrzymaną od kapłanów i poruszał się z wielką dostojnością i wdziękiem; był przywódcą, wielkim prorokiem; i chociaż wszyscy sądzą, że to on ich wiedzie, w rzeczywistości oni prowadzili go przed sobą.

Tym, którzy pytali po drodze, odpowiadali:

— Jest naszym Mesjaszem.

Wkrótce pojawiły się plotki o wielu dokonanych cudach.

Moje odkupienie, moja rola, moje przeznaczenie. Przewyciężając jedną pokusę, muszę pierwszej ulec innej; oto tchórzostwo i duma. Kłamstwem żyjąc, zrodzić prawdę. Zdradziłem tak wielu, którzy mnie zdradzili, bowiem pierwszej zdradziłem sam siebie.

Ale Monika pochwaliłaby teraz mój pragmatyzm...

Gdy widział chorych, żałował ich i próbował uczynić dla nich, co tylko mógł, gdyż wszyscy oczekiwali od niego działania. Było wielu, którym nie mógł pomóc, ale tam, gdzie choroba miała podłoże psychosomatyczne, zdarzało się, że odnosił sukces. Wierzono teraz w jego moc bardziej niż we własne choroby, a zatem uzdrawiał coraz częściej.

Gdy przybył do Kafarnaum, podążało za nim około pięćdziesięciu ludzi i teraz razem kroczyli ulicami miasta. Wiadomo już było, iż ma coś wspólnego z Janem Chrzcicielem, który cieszył się w Galilei znacznym prestiżem i przez wielu faryzeuszy uznawany był za prawdziwego proroka. Ten nowy prorok zdawał się jednak potężniejszy od Jana. Nie był wprawdzie mówcą jak Chrzciciel, ale czynił cuda.

Kafarnaum było rozległym miastem wzniesionym na wybrzeżu kryształowo czystego Jeziora Galilejskiego. Między domami zieleniły się ogrody warzywne, przy białych nabrzeżach cumowały łodzie rybackie i statki handlowe, kursujące od portu do portu, w zależności od potrzeb.

Zielone wzgórza schodziły wprawdzie do samej wody, jednak Kafarnaum położone było na płaskim terenie osłoniętym przez wzniesienia. Było to ciche miasto, zamieszkane, podobnie jak większość miast Galilei, przez wielu ludzi innych wyznań niż mojżeszowe; byli tu Grecy, Rzymianie, egipscy kupcy, których znaczna część nie tylko wypełniała ulice, ale

nawet zdecydowała się zbudować domy i osiaść tu na stałe. Dobrze miała się klasa średnia — handlowcy, artyści, armatorzy, lekarze, prawnicy, uczeni. Kafarnaum było miastem niewielkim, jednak leżało na granicy trzech prowincji — Galilei, Tyberiady i Syrii, a tym samym stanowiło znaczący ośrodek handlowy i trudno było ominąć je w podróży.

Obcy prorok wkroczył do Kafarnaum. Ubrany był w fałdzistą, płócienną szatę i wiódł za sobą niejednolity tłum składający się głównie z biedoty, można tu jednak było dostrzec również ludzi o lepszej postawie i niejakiem znaczeniu.

Rozeszły się pogłoski, iż mężczyzna ten potrafi przepowiadać przyszłość; powtarzano, że przewidział aresztowanie Jana przez Heroda Antypasa na krótko przed tym, gdy Herod rzeczywiście uwięził Chrzciciela w Perei.

To robiło wrażenie, przemawiało do wyobraźni. Obcy nie wypowiadał nigdy prorocत्व ogólnych i dwuznacznych jak inni prorocy. Mówił zawsze o rzeczach mających się zdarzyć w bliskiej przyszłości i relacjonował je szczegółowo.

Nikt wówczas nie znał jego imienia. Był po prostu prorokiem z Nazaretu lub Nazarejczykiem. To dodawało mu aury tajemniczości i podnosiło prestiż.

Niektórzy mówili, że jest krewnym, prawdopodobnie synem, pewnego cieśli z Nazaretu, ale mogło to wynikać z podobieństwa określeń „mag” i „syn cieśli” w języku aramejskim, przez co łatwo było o pomyłkę.

Pojawiły się nawet nieśmiałe pogłoski, że jego imię brzmi Jezus. Imię to padło kilka razy, ale kiedy spytano go wprost, czy jest prawdziwe, zaprzeczył czy raczej, na swój roztańgniony sposób, odmówił odpowiedzi.

Jego kazania nie miały w sobie ognia, który cechował mowy Jana, brakowało im tamtej dosadności, a ponadto wiele jego uwag i aluzji wydawało się nieczytelnych, nawet dla ludzi bardzo religijnych lub uczonych, których ciekawość przygnała, by posłuchać proroka.

Człowiek ten przemawiał łagodnie, niejasno i często się uśmiechał. Również i o Bogu opowiadał w osobliwy sposób, przy czym zdawał się być powiązany z esseńczykami, bowiem podobnie jak oni prawił o rodzaju ludzkim jako o związku braterskim.

Ale nie przemówień, tylko cudów oczekiwano od niego, gdy wprowadzano go do pięknej synagogi w Kafarnaum.

Żaden prorok przed nim nie uzdrawiał chorych, żaden nie rozumiał tak dobrze problemów, o których ludzie zwykle niechętnie mówili. Reagowano raczej na aurę życzliwości, którą promieniował, niż na jego słowa.

Czasem jednak zamykał się w sobie i nie chciał przemawiać; pogrążał się w głębokim zamyśleniu i wówczas w jego oczach można było dostrzec oznaki wielkiego cierpienia. Pozostawiano go wtedy w spokoju i mówiono, że w takich chwilach rozmawia z Bogiem.

Były to jednak chwile coraz krótsze i coraz więcej czasu spędzał z chorymi i nieszczęśliwymi, służąc im pomocą i z wolna nawet bogaci i wykształceni mieszkańcy Kafarnaum zaczęli wyrażać się o nim z szacunkiem.

Największą zmianą, która zaszła w nim samym, było zapewne to, że po raz pierwszy w swoim życiu Karl Glogauer zapomniał o Karlu Glogauerze. Po raz pierwszy w życiu robił to, co zawsze pragnął robić, a do czego, jak sądził, był za słaby. Oto realizowała się jego największa ambicja, dokonywał tego, o czym marzył od dnia, gdy porzucił psychiatrię.

Ale było również coś, z czego zdawał sobie sprawy raczej instynktem niż rozumem. Oto miał sposobność, by odkupić i jednocześnie poddać afirmacji całe swoje życie do chwili, gdy na pustyni opuścił Jana Chrzciciela

Obecne życie jednak nie było jego własnym. Powoływał do istnienia mit i czynił to o całe pokolenie wcześniej, niż miał on rzeczywiście powstać. Przygotowywał psychikę otaczających go ludzi i powtarzał sobie, że nie zmienia przecież historii, lecz tylko nasycy ją bogatszą treścią.

Nie mógł unieść myśli, że Jezus okazał się niczym innym jak tylko mitem i uznał za swój obowiązek uczynić tę postać fizycznie realną, nie wystarczało mu samo zapoczątkowanie procesu mitogenezy. Zresztą, jaka to różnica? Różnica, owszem, była, ale szybko przestał się nad tym zastanawiać, jako że problem ów wprowadzał w jego myśli zamieszanie i zdawał się prowadzić do ślepego zaułka. To była pułapka, a dać się w nią złapać oznaczało raz jeszcze utracić szansę i raz jeszcze zdradzić samego siebie.

Kazał zatem w synagodze i mówił o Bogu łagodniejszym niż ktokolwiek przed nim, a gdzie pamiętał jakieś przypowieści, tam je cytował.

I stopniowo zanikła w nim potrzeba intelektualnej oceny własnego postępowania, a utożsamienie się z odgrywaną postacią zaczęło zatracać dystans. Nadawał jej coraz więcej cech charakterystycznych, budował i nasycał treścią. Była to, jakkolwiek by nie spojrzeć, rola archetypiczna i to przemawiało wyznawcy Junga do wyobraźni. Była to rola, która wykraczała daleko poza proste naśladowanie; musiał ją odegrać do końca i to ze wszystkimi szczegółami.

Karl Glogauer odkrył wreszcie rzeczywistość, której tak długo poszukiwał. Nie znaczyło to jednak, że nigdy nie nachodziły go wątpliwości.

A w synagodze był człowiek opętany przez ducha nieczystego, który zawołał głośno: Ach, cóż mamy z tobą, Jezusie Nazareński? Przyszdełeś nas zgubić? Wiem, kim Ty jesteś, Święty Boży. A Jezus zgromił go, mówiąc: Zamilknij i wyjdź z niego! A demon rzucił go na środek i wyszedł z niego, nie wyrządziwszy mu żadnej szkody. I zdumienie ogarnęło wszystkich, i mówili między sobą: Cóż to za mowa, że mając władzę i moc, nakazuje duchom nieczystym, a wychodzą? I rozchodziła się wieść o nim po wszystkich miejscowościach okolicznej krainy.

(Łukasz IV: 33-37)

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ja wiem, że Odkupiciel mój żyje, i że jako ostatni nad prochem stanie.

(Job XIX: 25)

*O felix culpa, quae talem ac tantum meruit habere Redemptorem **

(Mszał — *Exultet* na Wielką Sobotę)

— Masowe halucynacje, cuda, latające talerze i duch to jedno i to samo — stwierdziła kiedyś Monika.

— Całkiem możliwe — odparł wtedy — ale czemu w ogóle się to widuje?

— Ludzie tego pragną.

— A czemu pragną?

— Bo się boją.

— I już?

— A co, czy to nie dość?

Gdy po raz pierwszy opuszczał Kafarnaum, towarzyszyło mu o wiele więcej ludzi niż wówczas, gdy wkraczał do miasta.

Pozostawanie w mieście było niewskazane, bowiem wielkie tłumy zdążyły sparaliżować już handel i wszelką inną działalność. Ludzie gotowi byli czekać całe dni, byle tylko

* łac. — O szczęśliwa to wina, przez którą na grzeszników spłynęło Zbawienie (przyp. tłum.).

ujrzeć, jak prorok czyni cuda.

Przemawiał do nich po drodze, wybierając najczęściej wzgórze lub brzegi rzek.

Rozmawiał z ludźmi inteligentnymi, piśmiennymi, którzy odkrywali, że mają z nim sporo wspólnego. Byli wśród nich właściciele flotylli rybackich: Szymon, Jakub i Jan, był też doktor, był urzędnik administracji rzymskiej. Ten ostatni przyłączył się po wysłuchaniu mowy w Kafarnaum

— Musi być dwunastu — stwierdził pewnego dnia prorok. — Musi być cały zodiak.

Dobierał ich wedle imion.

— Czy jest ten, którego zważ Piotrem? Czy jest ten, którego zważ Judaszem?

Gdy byli już wszyscy, odprawił pozostałych, mówiąc, że pragnie porozmawiać z wybraną dwunastką.

Musi być dokładnie tak, jak pamiętam. Oczywiście, będą trudności i rozbieżności, ale muszę dostarczyć przynajmniej zasadniczego oparcia, podstawowej struktury mitu.

Nie był zbyt ostrożny mówiąc i ludzie to zauważyli. Atakował ostrzej i wybierał przykłady bardziej dosadne niż Jan Chrzciciel. Niewielu proroków było aż tak odważnych i mało cieszyło się podobnym zaufaniem.

Mówił o wielu rzeczach, które brzmiały dla ludzi zupełnie obco. Miewał dziwne pomysły. Niektórzy faryzeusze uważali, że bluźni.

Czasem próbowano go ostrzec, sugerując, że dla swego dobra winien złagodzić niektóre wypowiedzi, on jednak tylko uśmiechał się w takich razach i kręcił głową.

— Nie. Muszę mówić to, co mówię. Wszystko zostało już przesądzone.

Pewnego dnia spotkał mężczyznę, w którym rozpoznał esseńczyka z osady w pobliżu Machareus.

— Jan chciałby z tobą porozmawiać — stwierdził esseńczyk.

— To Jan jeszcze żyje?

— Zakazano mu opuszczać Pereię. Herod jest chyba zbyt zalekziony, by go zabić. Pozwala Janowi poruszać się w obrębie ogrodu i murów pałacu, pozwala mu rozmawiać z ludźmi, Jan jednak obawia się, że Herod może wkrótce dojrzeć do decyzji, kazać go ściąć lub ukamienować. Potrzebuje twojej pomocy.

— Jak mogę mu pomóc? Pisana mu śmierć i nie ma dlań nadziei.

Esseńczyk nie zrozumiał.

— Ależ panie, nie ma nikogo innego, kto mógłby mu pomóc.

— Nie wolno mu pomagać. Musi umrzeć.

— Kazał mi powtórzyć, gdybyś w pierwszej chwili odmówił, żebyś nie zawiódł go po raz wtóry, skoro już raz to zrobiłeś.

— Nie zawiódę go. Właśnie teraz naprawiam swój poprzedni błąd. Zrobiłem już wszystko, o co mnie prosił. Obecnie uzdrawiam i przemawiam do biednych.

— Nie wiedziałem, że Jan tego pragnął. Teraz jednak on potrzebuje pomocy, panie. Mógłbyś uratować jego życie, jesteś przecież potężny i ludzie słuchają twoich słów, Herod nie mógłby ci odmówić.

Prorok odprowadził esseńczyka z dala od dwunastu.

— Jego życie nie może zostać uratowane.

— Czy taka jest wola Boga?

Prorok zamilkł i wbił wzrok w ziemię.

— Jan musi umrzeć.

— Panie, czy taka jest wola Boga?

Prorok podniósł spojrzenie.

— Jeśli ja jestem Bogiem, to taka jest Jego wola.

Pozbawiony nadziei esseńczyk odwrócił się i odszedł.

Prorok westchnął, wspominając Chrzciciela, którego przecież bardzo polubił. Bez wątpienia to jemu właśnie zawdzięczał ocalenie w pierwszych dniach. Nic jednak nie mógł poradzić. Jan Baptysta skazany był na śmierć.

Ruszył dalej przez Gallileę. Poza wybraną dwunastką towarzyszyli mu prości biedacy. Był dla nich jedyną dostępną nadzieją na poprawę losu. Wcześniej wielu z nich gotowych było pójść za Janem na Rzymian. Jan jednak był obecnie więźniem.

Liczyli, że może ten tutaj człowiek także zdoła poprowadzić ich do rebelii, może pozwoli im splądrować Jerusalem, Jerycho, Cezareę?

Zmęczeni i głodni szli za nim w palących promieniach słońca, szli za mężczyzną w białej szacie. Potrzebowali nadziei i oto właśnie znaleźli coś, czego się mogli uchwycić. Widzieli przecież, jak czynił wielkie cuda.

Zdarzyło się kiedyś, gdy kazał do nich z łodzi, jak miał to często w zwyczaju, iż wrócił potem na brzeg po płyciźnie i ludziom wydało się, że idzie po wodzie.

Całą jesień przemierzali Galileę, zewsząd słysząc wieści o ścięciu Jana. Jednak za sprawą nowego proroka rozpacz szybko obracała się w nadzieję. Ponadto ten nowy znał swego poprzednika.

Z Cezarei zostali wyprowadzeni przez rzymskich strażników. Przywykli oni wprawdzie do szaleńców i ich prorostw, woleli jednak, by tamci pozostawali w obrębie wsi.

Sława proroka wzrastała i coraz częściej zdarzało się, że usuwano ich także z innych miast. Nie tylko rzymskie, ale nawet i żydowskie władze patrzyły na nowego proroka niechętnym okiem. Zbyt różnił się od Jana, którego skłonne były tolerować, ponadto klimat polityczny zaczął się wyraźnie zmieniać.

Coraz ciężej było zdobywać jedzenie. Żyli tym, co udawało się znaleźć i głodowali jak zwierzęta.

Karl Glogauer, znachor, psychiatra, hipnotyzer, mesjasz; nauczał ich jak oszukiwać żołądki i odganiać głód.

I przystąpili do niego faryzeusze i saduceusze, i kusząc, prosili go, żeby im pokazał znak z nieba. A on, odpowiadając, rzeki im: Gdy nastanie wieczór, mówicie: Będzie pogoda, bo się niebo czerwieni; A rano: Dziś będzie niepogoda, bo się niebo czerwieni i jest zachmurzone. Oblicze nieba umiecie rozpoznawać, a znamion czasu nie potraficie?

(Mateusz XVI: 1-3)

— Musisz bardziej uważać. Zostaniesz ukamienowany. Zabiją cię.

— Nie ukamienują mnie.

— Takie jest prawo.

— Nie taki los mi pisany.

— Czyżbyś nie bał się śmierci?

— Nie jest to największy z moich lęków.

Własnego ducha się boję. Boję się, iż sen mój nagle się skończy. Boję się...

Ale teraz nie jestem już sam.

Czasem jego przekonanie co do roli, którą wybrał, ulegało wahaniom, poczucie rzeczywistości odpływało, rozmywało się i wówczas ci, którzy szli za nim, popadali w zwątpienie.

Często nazywali go teraz imieniem, które znali ze słyszenia, imieniem Jezusa z Nazaretu.

Zwykle nie zabraniał im tego, przeciwnie, wpadał w gniew i wówczas krzyczał gardłowo dziwne słowa:

— Karl Glogauer! Karl Glogauer!

A oni mówili wówczas:

— Patrzcie, przemawia głosem Adonai.

— Nie nazywajcie mnie tym imieniem! — krzyczał, a oni, nie wiedząc co czynić, zostawiali go samego i czekali, aż jego gniew osłabnie. Zwykle potem sam szybko do nich wracał, jakby bał się utracić ich towarzystwo.

Własnego ducha się boję. Boję się samotnego Glogauera.

Zauważyli, że nie może ścierpieć widoku własnego odbicia, uznali, iż jest to znak skromności i pokory i zaczęli prześcigać się w naśladowaniu jego cnót.

Gdy pogoda pogorszyła się i nastały wiatry, wrócili do Kafarnaum, które stało się ostoją jego wyznawców.

W Kafarnaum prorok przeczekał zimę i często przemawiał do wszystkich, którzy chcieli go słuchać, a większość kazań zawierała prorocstwa.

Wiele spośród owych prorocstw dotyczyło jego samego i losu tych, którzy mu zaufali.

Wtedy przekazał uczniom swoim, aby nikomu nie mówili, że On jest Mesjaszem. Od tej pory zaczął Jezus Chrystus tłumaczyć uczniom swoim, że musi pójść do Jerozolimy, wiele wycierpieć od starszych arcykapłanów i uczonych w Piśmie, że musi być zabity i trzeciego dnia wzbudzony z martwych.

(Mateusz XVI: 20-21)

Oglądali telewizję w jej mieszkaniu; Monika jadła jabłko. Było między osiemną a dziewiętną, ciągnęło się gorące, typowo niedzielne popołudnie. Monika wskazała ogryzkiem na ekran.

— Popatrz na te bzdury Chyba mi nie powiesz, że znajdujesz w tym sens.

Odbierali właśnie program religijny relacjonujący wystawienie w kościele Hampstead nowej pop-opery o ukrzyżowaniu.

— Grupa rockowa na ambonie. Co za upadek.

Nie odpowiedział. Z jakichś niejasnych powodów przedstawienie wydało mu się obsceniczne, a poza tym nie umiał dyskutować z Moniką.

— Teraz ciało Boga naprawdę zaczęło gnić. Fe! Co za smród!

— No to wyłącz...

— Jak się ta grupa nazywa? „The Maggots”? *

— Bardzo zabawne. Wyłączę, dobrze?

— Nie, poczekaj. Chcę popatrzeć. To śmieszne.

— Och, wyłącz wreszcie!

— Naśladowanie Chrystusa! Idiotyczna karykatura.

Murzyński piosenkarz grający Chrystusa, beztalencie operujące kiepskim głosem dziwnie pasującym do banalnego akompaniamentu, zaczął wyrzucać z siebie nieżyciowe frazesy o braterstwie człowieka.

— Jeśli wtedy brzmiało to tak samo, to nic dziwnego, że go ukrzyżowali — stwierdziła Monika.

Karl zebrał się w sobie i wyłączył odbiornik.

— To mi się podobało — powiedziała z udawanym zadowoleniem. — Cudowny łabędzi śpiew.

* The Maggots (ang.) — Robaki (przyp. tłum.).

I z odcieniem afektacji dodała jeszcze coś, co go zaniepokoiło:

— Jesteś stary piernik. Jaka szkoda. Kiedyś mógłbyś zostać Johnem Wesleyem, Kalwinem lub kimś takim. W naszych czasach nie masz szans na mesjasza. Nie te warunki. Nikt by cię nie wysłuchał.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Prorok zamieszkał w domu mężczyzny o imieniu Szymon, którego jednak wolał nazywać Piotrem. Szymon wdzięczny był prorokowi za wyleczenie mu żony, która od dłuższego czasu cierpiała na tajemniczą dolegliwość. Medycy byli bezradni i nie potrafili nawet rozpoznać choroby, prorok jednak uporał się z nią zadziwiająco łatwo.

W Kafarnaum było teraz wielu obcych, a większość przybyła jedynie po to, by ujrzeć proroka. Szymon ostrzegał go, że rozpoznano wśród nich wielu agentów Rzymian i faryzeuszy. Sami faryzeusze nie byli w zasadzie niechętni prorokowi, nie wierzyli jednak w dobiegające ich opowieści o cudach. Niemniej atmosfera polityczna była już mocno napięta, i cały garnizon rzymski, począwszy od Piłata i jego oficerów, a na żołnierzach skończywszy, pozostawał w pogotowiu i oczekiwał wybuchu. Nikt jednak nie potrafił ostrzec, czy taki wybuch rzeczywiście się zbliża.

Patologicznie wprost skłonny do wszelkiej wstrzeźliwości zmieszał wino z wodą — wino było w mniejszości — i poprawił się na krześle.

Miał nadzieję, że nastąpią zamieszki i to na wielką skalę. Gdyby jacyś bandyci, chociażby zeloci, zaatakowali Jerusalem, mógłby wówczas przekonać Tyberiusza, iż nagana za decyzję podjętą w sprawie tarcz wotywnych była błędem wynikłym ze zbytnej łagodności. Piłat szybko dowiódłby, że ma rację i jego władza nad Żydami mogłaby wzrosnąć. Może wówczas zdołałby zaprowadzić tu rzeczywisty porządek. Obecnie jego pozycja wobec wszystkich tetrarchów z prowincji, a szczególnie wobec niepewnego i zmiennego Heroda Antypasa, była niepewna. To źle, to bardzo źle, zwłaszcza że jedynie na Heroda mógł w ogóle liczyć.

Ponadto, jakby mało było kłopotów politycznych, jego niezrównoważona żona przechodziła kolejny atak objawiający się nieustannymi powrotami zmór sennych, a on nie mógł poświęcić jej tyle czasu, ile powinien.

Jakimś wyjściem, myślał, mogłoby być również sprowokowanie dowolnego incydentu; do tego jednak należy podejść ostrożnie. Tyberiusz nie powinien w żadnym przypadku przetrzeć gry.

Ten nowy prorok mógłby łatwo dostarczyć pretekstu, ale jak dotąd, zachowywał się nie-nagannie; nie naruszył ani prawa rzymskiego, ani żydowskiego. To, że wyżsi kapłani mieli do niego pretensje, nie miało znaczenia. Nikt się też tym nie przejmował. Ataki na stan kapłański były na porządku dziennym. Samozadowolenie zaś większości kapłanów było na tyle duże, iż nie zwracali na nie większej uwagi. Żadne prawo nie zabraniało też głośić nikomu, że jest mesjaszem. Ten prorok podobno, za takiego się uważał, z tego jednak co było Piłatowi wiadome, nie nakłaniał ludzi do rebelii, raczej wprost przeciwnie. Nie mógł również aresztować go dlatego tylko, iż część jego popleczników była kiedyś związana z Janem Chrzcicielem. To za mało. Zresztą, cała sprawa Chrzciciela nie miała już, z powodu panikarstwa Heroda, większego znaczenia.

Patrząc przez okna swojego pokoju, widział wieże i wysokie dachy Jerusalem. Bez pośpiechu rozważał informacje dostarczone mu przez agentów.

Wkrótce po święcie zwanym przez Rzymian Saturnaliami, prorok i jego zwolennicy raz

jeszcze opuścili Kafarnaum i ruszyli w wędrówkę po kraju.

Teraz, po okresie upałów, cuda były rzadsze, prorocत्व jednak pożądaną ciągle z tą samą siłą. Prorok ostrzegał przede wszystkim przed błędami, które mogłyby zostać popełnione w przyszłości i przed wszystkimi zbrodniami, do których mogłyby dojść w jego imieniu. Błagał, by zawsze zastanawiali się, nim uczynią cokolwiek w imię Chrystusa.

Wędrował przez Galileę i przez Samarię, zmierzając nieustannie dobrymi, rzymskimi drogami w kierunku Jerusalemu.

Czas Święta Wyjścia był coraz bliższy.

Zrobiłem już wszystko, co sobie zamierzyłem. Czyniłem cuda, kazałem, wybrałem uczniów. Wszystko to było łatwe, wystarczyło być tym, kim oczekiwano, że będę. To oni mnie stworzyli.

Czy uczyniłem dość? Czy sprawa jest już przesądzona i nie będzie można cofnąć biegu wypadków?

Wkrótce się przekonamy.

Rzymscy decydenci dyskutowali w Jerusalemie nad przebiegiem zbliżającego się święta. Zawsze, jak dotąd, był to czas największych niepokojów, zawsze tuż przed rozpoczęciem Paschy dochodziło do zamieszek i w tym roku bez wątpienia miało być podobnie.

Piłat zaprosił faryzeuszy. Gdy przyszli, najuprzejmiej jak potrafił, poprosił ich o współpracę.

Faryzeusze stwierdzili, że zrobią co w ich mocy, nie będą jednak w stanie poradzić na zwykłą ludzką głupotę.

Piłat był zadowolony. Widziano, że próbował zapobiec kłopotom i gdyby teraz do czegoś doszło, nikt nie mógłby go winić.

— No dobrze, a co wy możecie zrobić? — spytał dowódców.

— Ściągniemy do Jerusalemu tyle oddziałów, ile tylko się da i jak szybko się da — usłyszał. — Ale i tak cienko już przedziemy.

— Musimy dać sobie radę.

Gdy wyszli, Piłat wezwał agentów, którzy potwierdzili, że nowy prorok jest już w drodze.

Piłat potarł brodę.

— Wydaje się całkiem nieszkodliwy — powiedział jeden z wezwanych.

— Może teraz — odparł Piłat. — Ale jeśli dotrze do Jerusalemu w czasie Paschy, to może stać się groźny.

Na dwa tygodnie przed Świętem Wyjścia prorok wszedł do Betanii, miasta w pobliżu Jerusalemu. Niektórzy z jego galilejskich zwolenników mieli tu przyjaciół, a owi przyjaciele bardziej niż chętnie chcieli gościć człowieka, o którym tyle słyszeli od pielgrzymów przechodzących tędy do Jerusalemu i Wielkiej Świątyni.

Głównym powodem postoju w Betanii była nadmierna liczba ludzi podążających za prorokiem.

— Jest nas zbyt wielu — powiedział Szymonowi.

— Zbyt wielu, Piotrze.

Twarz jego była teraz wymizerowana, oczy zapadły się głębiej w czaszkę, mówił mało.

Czasem rozglądał się wkoło niepewnie, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje.

Do Betanii napływały wieści, że rzymscy agenci zaczęli rozpytywać o nowego proroka, Ten jednak zdawał się tym nie przejmować. Wprost przeciwnie, potakiwał w zamyśleniu jakby usatysfakcjonowany.

— Piłat będzie szukał kozła ofiarnego — ostrzegał Jan.

— A zatem go znajdzie — odpowiadał prorok.

Kiedyś powędrował z dwoma tylko uczniami, by rzucić okiem na Jerusalem. Jasnożółte mury miasta prezentowały się w zachodzącym słońcu wręcz wspaniale. Wieże, budynki, wiele przyozdobionych czerwonymi, niebieskimi i żółtymi mozaikami, były doskonale widoczne na wiele mil wokoło.

Prorok zawrócił do Betanii.

I jest oto owo miejsce i boję się. Boję się śmierci i bluźnierstwa.

Ale nie można inaczej. Nie ma innego sposobu, by dokończyć dzieła, jak tylko przeżyć całą historię samemu.

— Kiedy udamy się do Jerusalem? — spytał jeden z uczniów.

— Jeszcze nie teraz — odparł Glogauer. Zgarbi! ramiona i przycisnął ręce do piersi jakby dla ochrony przed chłodem.

Na dwa dni przed świętem Paschy prorok zabrał swych uczniów na Górę Oliwną, na przedmieście Jerusalem zwane Betfage, a wzniesione na stokach.

— Sprowadźcie mi osła — rozkazał im. — Żrebaka. Nadeszła pora, bym wypełnił proctwo.

— I wszyscy ujrzą teraz, że jesteś Mesjaszem — powiedział Andrzej.

— Tak.

Prorok westchnął.

Ten strach jest inny. Przypomina lęk aktora, który właśnie ma odegrać kulminacyjną, najbardziej dramatyczną scenę...

Otarł zimny pot, który zebrał się na jego górnej wardze.

W skąpym świetle wieczoru przyglądał się tym, którzy go otaczali. Nadal nie kojarzył wszystkich twarzy; ważne były tylko ich imiona i liczba. Tu było dziesięciu, pozostałych dwóch szukało osła.

Wiał lekki, ciepły wiatr. Stali na porośniętym trawą zboczu Góry Oliwnej i spoglądali z góry na Jerusalem i Wielką Świątynię.

— Judaszu?

Znajdował się wśród nich człowiek zwany Judaszem.

— Tak, mistrzu — był wysoki, o dobrej prezencji, z kręconymi rudymi włosami i rozbieganymi, ale inteligentnymi oczami. Glogauer przypuszczał, iż ma do czynienia z epileptykiem.

Spojrzał w zamyśleniu na Judasza Iskariotę.

— Będę potrzebował twojej pomocy. Jeszcze nie teraz, dopiero gdy wejdziemy do Jerusalem.

— Co mam uczynić, panie?

— Zaniesiesz wiadomość Rzymianom.

— Rzymianom? — Judasz wyglądał na zakłopotanego. — Dlaczego?

— Tak trzeba. To muszą być Rzymianie, a nie Żydzi. Oni użyliby kamieni, pała lub topora. Resztę powiem ci, gdy czas nadejdzie.

Niebo pociemniało i nad Górą Oliwną rozbłyły gwiazdy. Zaczynało robić się chłodno i Glogauer drżał cały.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*Wesel się bardzo, córko syjońska!
Wykrzykuj, córko jerozalemska!
Oto twój Król przychodzi do ciebie,
Sprawiedliwy on i zwycięski,
Łagodny i jedzie na osle,
Na osłęciu, źrebięciu osłicy.*

(Zachariasz IX: 9)

— *Osha'na! Osha'na! Osha'na!*

Gdy Glogauer wjeżdżał na osła do miasta, jego zwolennicy biegli przodem, rzucając na ziemię gałęzie palmowe. Po obu stronach ulicy tłoczył się tłum uprzedzony o nadejściu proroka.

Widziano teraz, jak nowy prorok wypełnia przepowiednię dawnych proroków i o wiele więcej ludzi uwierzyło w tej chwili, że oto przybył, w imię Adonai, by poprowadzić ich przeciwko Rzymianom.

— *Osha'na! Osha'na!*

Glogauer rozglądał się niepewnie. Grzbiet osła, nawet przykryty płaszczami uczniów, nie był zbyt wygodny. Kołysał się i trząsał i przy każdym kroku zwierzęcia prorok musiał przytrzymywać się grzywy. Słyszał okrzyki tłumu, ale przez długi czas nie mógł zrozumieć ich znaczenia.

— *Osha'na! Osha'na!*

Brzmiało to podobnie jak „hosanna”. W końcu rozszyfrował to jako wykrzykiwane po aramejsku: „Uwolnij nas”.

— Uwolnij nas! Uwolnij nas!

Podczas tej Paschy Jan zamierzał porwać się zbrojnie na Rzymian. Wielu spośród obecnych tu ludzi gotowych było wziąć udział w rebelii.

Wierzyli, że oto przychodzi następca Jana, który zostanie przywódcą powstania.

— Nie — mruknął na widok wpatrzonych wyczekująco licznych twarzy. — Nie. Nie jestem Mesjaszem. Nie jestem w stanie was uwolnić, nie mogę...

Wiara ich była nieuzasadniona, nie słyszeli go jednak przez własne krzyki.

Karl Glogauer wszedł w rolę Chrystusa, a Chrystus przybył do Jerusalem. Opowieść sięgała kulminacji.

— *Osha'na!*

Lecz to nie była opowieść. Nie mógł im pomóc.

Było to jego własne ciało.

Jego własne ciało, które rozdzielał, kawałek po kawałku, wszystkim potrzebującym. Nie należało już do niego.

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że jeden z was mnie wyda. Wtedy uczniowie spojrzeli po sobie w niepewności, o kim mówi. A jeden z jego uczniów, którego Jezus miłował, siedział przy stole przytulony do Jezusa. Skinął więc na niego Szymon Piotr i rzekł do niego: Zapytaj, kto to jest. O kim mówi! A on, wsparłszy się o pierś Jezusa, zapytał go: Panie! Kto to jest? A Jezus mu odpowiedział: To jest ten, któremu ja podam umoczony kawałek chleba. Wziął więc kawałek, umoczył go i podał Judaszowi Iskariocie, synowi Szymona. A zaraz potem wszedł w niego szatan. Rzekł więc do niego Jezus: Czyń zaraz, co masz czynić.

(Jan XIII: 21-27)

Judasz Iskariota potrząsnął z niedowierzaniem głową, wyszedł z pokoju i wmieszał się

w tłum na ulicy. Skierował się prosto do pałacu gubernatora. Nie wątpił wprawdzie, że część planu, która jemu przypadła w udziale ma polegać na oszukaniu Rzymian, tak by ludzie powstali w obronie Jezusa, uważał jednak, że to nieroztropne. Między tłoczącymi się na ulicy mężczyznami, kobietami i dziećmi panowała napięta atmosfera. O wiele więcej rzymskich żołnierzy niż zwykle patrolowało miasto.

— Ależ oni nie mają żadnego powodu, by cię aresztować — powiedział prorokowi.

— A zatem im go dostarczę.

Nie można było inaczej tego zorganizować.

Nie przywiązywał do tego znaczenia. Kroniki i tak przedstawią sprawę po swoimu.

Pomimo ograniczeń w jedzeniu i picciu Piłat był mężczyzną otyłym, o pobłażliwej twarzy, ciężkich powiekach i mało wyrazistym spojrzeniu. Przywitał Żyda z pogardą.

— Nie płacimy informatorom, których doniesienia okazują się fałszywe.

— Nie przyszedłem dla pieniędzy, panie — powiedział Judasz, wpadając w ton, którego Rzymianin mógł się spodziewać po Żydzie usiłującym wkraść się w łaski. — Jestem lojalnym poddanym cesarza.

— Kto jest tym rebeliantem?

— Jezus z Nazaretu, panie. Dziś właśnie wkroczył do miasta...

— Wiem. Widziałem go. Ale słyszałem, że głosił o pokoju i poszanowaniu prawa.

— Tylko po to, by cię oszukać, panie. Dziś jednak zdradził się, wywołując gniew faryzeuszy, przemawiał bowiem przeciwko Rzymianom. Odkrył swe prawdziwe zamiary.

— A dowody?

— Są setki świadków.

— Świadkowie mają zwykle krótką pamięć — Piłat był jednak zainteresowany. — Jak ich rozpoznać?

— Poświadczę ci o jego winie, panie. Jestem jednym z jego przybocznych.

Za dobre, żeby było prawdziwe. Piłat ścisnął wargi. Nie mógł narazić się teraz na niechęć faryzeuszy, dość już sprawili mu kłopotów. Szczególnie Kajfasz, który przy byle okazji zaraz krzyczał o niesprawiedliwości. Gdyby aresztował tego człowieka, Kajfasz zaraz by narobił szumu.

— Mówisz, że obrażał kapłanów?

— Głosi, że jest prawowitym królem Żydów, potomkiem Dawida — powiedział Judasz, powtarzając, co mu przykazał jego pan.

— Naprawdę? — Piłat z zamyśleniem wpatrywał się w okno.

— A jeśli chodzi o faryzeuszy, panie...

— No, co z nimi?

— Pragną jego śmierci. Wiem to z dobrych źródeł. Niektórzy faryzeusze, którzy nie zgadzają się ze zdaniem większości, próbowali nakłonić go do opuszczenia miasta, ale on odmówił.

Piłat przytaknął. Przymknął oczy, rozważając informacje. Faryzeusze mogli nienawidzić proroka, ale na ewentualnym jego aresztowaniu szybko zbiliby polityczny kapitał.

— Faryzeusze pragną by został aresztowany — ciągnął Judasz. — Ludzie zbierają się, by słuchać proroka i dziś wielu z nich rozpętało zamieszki w świątyni. Posługiwali się przy tym jego imieniem.

— To on ich sprowokował? — prawdą było, że około pół tuzina ludzi zaatakowało lichwiarzy w świątyni i usiłowało ich obrabować.

— Spytaj aresztowanych, kto pchnął ich do zbrodni — powiedział Judasz. — To wszystko ludzie Nazareńczyka.

Piłat zagryzł dolną wargę.

— Nie mogę nakazać aresztowania — stwierdził.

Sytuacja w Jerusalemie już była niebezpieczna, aresztowanie tego „króla” tylko przyczyniłoby się do wybuchu powszechnej rebelii, nad którą nikt nie byłby w stanie zapanować. Owszem, chciał kłopotów, ale nie pragnął wcale stać się ich sprawcą. Wówczas Tyberiusz obwiniałby nie Żydów, lecz jego. Niemniej, gdyby aresztowania mieli dokonać sami Żydzi, wówczas główny gniew ludu nie byłby wymierzony w Rzymian i oddziały zapanowałyby nad sytuacją. Faryzeusze winni zostać pokonani. To oni muszą aresztować proroka.

— Poczekaj tutaj — nakazał Judaszowi. — Wyślę wiadomość do Kajfasza.

I przyszedli do ogrodu, który zwano Getsemani, i rzekli do uczniów swoich: Siądźcie tutaj, aż się pomodlę. I wziął ze sobą Piotra i Jakuba, i Jana, i począł ich niepokoić i trwożyć. I rzekł do nich: Smętna jest dusza moja aż do śmierci; zostańcie tu i czuwajcie.

(Marek XIV: 32-34)

Glogauer widział nadciągający tłum. Po raz pierwszy od opuszczenia Nazaretu czuł się słaby i wyczerpany.

Szli go zabić. Miał umrzeć i godził się z tym, bał się jednak cierpienia, które również miało nadejść. Usiadł na ziemi na stoku wzgórza i przyglądał się coraz bliższemu pochodniom.

— Ideał męczeństwa to wytwór umysłów garstki ascetów — powiedziała kiedyś Monika. — Inaczej mówiąc, był to chorobliwy, patologiczny masochizm, łatwy sposób na zrzućcie z siebie odpowiedzialności, metoda, za pomocą której można utrzymać kontrolę nad wszystkimi uciskanymi...

— To nie takie proste...

— Ależ jest, Karl.

Teraz mógłbym pokazać Monice.

Żałował nawet, że ona nigdy się o tym wszystkim nie dowie. Zamierzał pierwotnie spisać wszystko i umieścić w wehikule czasu, może kiedyś zostałaby odnaleziona... Dziwne. Nie był człowiekiem w zwykłym, potocznym sensie religijnym. Był agnostykiem. To nie przekonania skłaniały go, by bronić religii przed cynicznymi uwagami Moniki; wynikało to raczej z jego braku wiary w ideał, z którym związała swój los — ideał nauki zdolnej rozwiązać wszelkie problemy. Nie potrafił dzielić jej punktu widzenia, a nie mając pod ręką niczego innego prócz religii, musiał po nią sięgnąć. Nawet jeśli nie wierzył w chrześcijańskiego Boga. Bóg — mistyczna siła sprawcza mgliście opisywana przez chrześcijaństwo i inne wielkie religie, nie był dla niego dostatecznie ludzki, osobowy. Racjonalny umysł podpowiadał mu, że Bóg w żadnej osobowej formie nie istnieje. Podświadomość powtarzała zaś, że sama ufność w potęgę nauki to za mało. Wspominał pogardę, którą niegdyś czuł do siebie, ale nie potrafił odtworzyć już, skąd się brała.

— Nauka jest w zasadzie przeciwieństwem religii — powiedziała kiedyś Monika. — Nieważne, ile zbierze się jezuitów i ile czasu poświęcą, by zrationalizować swoje spojrzenie na naukę; zawsze pozostanie ten drobiazg, czyli niemożność zaakceptowania przez religię materialistycznego podejścia do nauki i stąd właśnie wynika nieustanne atakowanie przez naukę zasadniczych tez dowolnej religii. Tylko w jednym przypadku, czyli kiedy doprowadzi się rzecz na skrajnie wysoki poziom abstrakcji, wówczas zanika potrzeba podtrzymywania konfliktu. Można bowiem powiedzieć sobie, że byt nadnaturalny zwany Bogiem istnieje lub nie i już, koniec. Ale kiedy tylko ktoś wychodzi poza to i zaczyna bronić swego stanowiska czy założenia, konflikt musi powrócić.

— Mówisz o religii zinstytucjonalizowanej...

— Mówię o religii jako opozycji wobec wiary. Komu potrzebny jest rytuał religii, gdy ma na to miejsce doskonalszy rytuał nauki? Religia jest rozumowym substytutem wiedzy. Potrzeba posiadania substytutów zanika jednak, Karl, nauka oferuje bowiem solidną bazę, na której budować można różne systemy myślowe czy etyczne. Nie potrzebujemy już „marchewki” nieba i wielkiego „kija” piekła, skoro nauka jest w stanie pokazać i opisać konsekwencje pewnych działań, a ludzie mogą bez trudności ocenić sami, czy działania te są dobre, czy złe.

— Z tym nie mogę się zgodzić.

— Bo jesteś chory. I ja też jestem chora, ale umiem przynajmniej dostrzec nadzieję na wyzdrowienie.

— Ja dostrzegam jedynie zagrożenie śmiercią...

Tak jak to uzgodnili, Judasz pocałował go w policzek; zaraz potem proroka otoczyły mieszane siły strażników świątyni i rzymskich żołnierzy.

Rzymianom powiedział z niejaką trudnością:

— Jestem królem Żydów.

Sługom faryzeuszy zaś:

— Jestem Mesjaszem, który przybył, aby zgładzić waszych panów.

Sprawa jego oskarżenia została przesądzona i ostatni akt mógł się już rozpocząć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sprawa była prowadzona niejednolicie: arbitralna mieszanka prawa rzymskiego i żydowskiego, co w tym zestawieniu zdawało się nikogo nie satysfakcjonować. Skład sędziowski został skompletowany dopiero po kilku naradach między Poncjuszem Piłatem i Kajfaszem i po trzech próbach pogodzenia ich systemów prawnych w taki sposób, aby dostosować je do wymogów sytuacji. Obie strony potrzebowały kozła ofiarnego i obie pragnęły ze sprawy wyciągnąć własne korzyści, a zatem ugoda została w końcu osiągnięta, a szaleniec skazany z jednej strony za rebelię przeciwko Rzymowi, z drugiej za herezję.

Osobliwością sprawy było to, że jako świadkowie wystąpili wszyscy ci, którzy uprzednio mienili się zwolennikami tego człowieka, a którzy obecnie zdawali się niczego nie pragnąć tak bardzo jak jego skazania.

— Ach, ci zaślepieni fanatycy — westchnął Piłat. Był zadowolony.

Faryzeusze przystali na rzymską metodę egzekucji jako bardziej stosowną do czasu i sytuacji. Postanowiono go ukrzyżować; miał ostatecznie pewien prestiż, a zatem konieczne było użycie takiej metody, która uczyniłaby jego postać żalną i śmieszna, przynajmniej w oczach pielgrzymów. Rzymskie sposoby poniżania były dobre i wypróbowane.

Piłat zapewnił faryzeuszy, że dopilnuje właściwego przebiegu egzekucji, upewnił się tylko przedtem, że podpisali oni dokument zostawiający mu wolną rękę i z góry akceptujący wszelkie jego działania.

Więzień wydawał się niemal zadowolony z przebiegu procesu, chociaż zaraz po nim zamknął się w sobie. Wcześniej przemawiał do sędziów, i to nawet często, prawie nic jednak nie powiedział, by się bronić.

Dokonało się. Moje Życie doczekało się spełnienia.

A żołnierze zaprowadzili go na zamek, to jest do Pretorium, i zawołali cały oddział wojska. I ubrali go w purpurę, upletli koronę ciemniową i włożyli mu ją na głowę. I poczęli go pozdrawiać: Bądź pozdrowiony, królu żydowski! I bili go po głowie trzcina, i pluli na niego, a upadając na kolana, bili mu pokłony. A gdy go wysmiali, zdjęli z niego purpurę i przyodziali go w jego własne szaty. I wyprowadzili go na ukrzyżowanie.

- Och, Karl, wszystko byś zrobił, by zwrócić na siebie uwagę...
- Już po przedstawieniu, młody człowieku...
- Boże, Karl, co ty jeszcze wymyślisz...

Nie teraz. Nie to. To zbyt wzniosłe.

Czy naprawdę widział roześmiane twarze szydzących z niego ludzi, czy zdawało mu się to tylko we mgle cierpienia?

A może była to jego własna twarz wykrzywiona w śmiechu godnym żalu nad samym sobą? Jego własny duch...

Nikt jednak nie był w stanie wyprowadzić go z transu i unicestwić wielkiej satysfakcji, którą odczuwał. Po raz pierwszy w życiu doświadczał jej w pełni.

Jego umysł był teraz osłabiony przez ból; obrządek poniżenia zamącił mu w głowie. Poświęcił się roli bez reszty.

Był zbyt wycieńczony, by samemu unieść ciężkie drewno, szedł zatem za krzyżem, który dźwigał w kierunku Golgoty przymuszony do tego przez Rzymian Cyrenejczyk.

Gdy kuśtykał tak przez zatłoczone, pogrążone w milczeniu ulice obserwowany przez tych, którzy sądzili, że poprowadzi ich przeciwko rzymskim namiestnikom, oczy jego wypełniły się łzami i teraz spojrzenie jego było przyćmione. Potykał się, czasem zbaczając z drogi, na którą naganiał go zaraz z powrotem któryś z rzymskich strażników.

— Jesteś zbyt emocjonalny, Karl. Czemu nie ruszysz wreszcie głową i nie zbierzesz się do kupy...?

Pamiętał te słowa, lecz trudno mu było teraz ustalić, kto je wypowiedział. Nie pamiętał już prawie, kim jest; kim jest Karl Glogauer...

Droga prowadząca po stoku wzgórza była kamienista; osuwał się co parę kroków, przypominając sobie inną górę, na którą wspinał się dawno temu. Wydawało mu się, że był wtedy dzieckiem, lecz wspomnienie to nakładało się na tyle innych obrazów, że nie sposób było powiedzieć cokolwiek na pewno...

Oddychał ciężko; zdobycie każdego haustu powietrza było mozolną pracą. Ból powodowany przez kolce korony cierniowej stał się ledwo odczuwalny; teraz całe jego ciało zdawało się dygotać w takt bicia serca. Cały był jednym wielkim bębniem.

Zapadał wieczór, słońce zachodziło. Ledwo znalazł się na szczycie, upadł na twarz, rozcinając głowę o ostry kamień. Zemdlął.

Pamiętał przecież, że był dzieckiem. Czy ciągle jeszcze? Nie morduje się przecież dzieci. Czy wyjaśnił im, że wciąż jest dzieckiem...?

I zawiedli go na miejsce zwane Golgotą co znaczy Miejsce Trupiej Czaszki. I dali mu do picia wino, zmieszane z mirrą, ale on nie przyjął.

(Marek XV: 22-23)

Odrzącił kubek. Żołnierz wzruszył ramionami i uchwycił jego rękę. Inny żołnierz już od chwili ścisnął mu drugą.

Gdy odzyskał przytomność, ogarnęły go dreszcze. Czuł, jak narasta ból w kostkach i nadgarstkach, w miejscach gdzie liny wrzynały się w ciało.

Coś zimnego przytknięto mu do nadgarstka; to coś było bardzo małe, a przynajmniej wydawało się takie, było jednak również osobliwie ciężkie. Usłyszał nowy dźwięk brzmiący

do wtóru biciu jego serca. Spojrzał na dłoń.

Posługując się drewnianym młotkiem, żołnierz wbijał w jego dłoń wielki, żelazny gwóźdź. Przyglądał się temu, leżąc na ułożonym płasko krzyżu. Czemu nie czuje bólu? Młotek wznosił się teraz wyżej — gwóźdź sięgnął drewna. Żołnierz dwukrotnie chybił celu, uderzając w palce.

Spojrzał w drugą stronę i ujrzał innego żołnierza, który także wbijał gwóźdź. Ten musiał chybić wiele razy, gdyż palce były zmiażdżone i zakrwawione.

Pierwszy żołnierz skończył z ręką i zajął się stopami.

Czuł, jak żelazo wdziera się w jego ciało, słyszał uderzenia młotka, który osadzał gwóźdź głęboko w drewnie.

Za pomocą bloku ustawili krzyż pionowo. Glogauer zauważył, że jest sam. Tego dnia nie krzyżowano nikogo więcej.

Mały srebrny krzyżyk kołyszący się między jej piersiami, grubo ciosany drewniany krzyż nacierający z wolna...

Erekcja pojawiła się i znikła.

Pod sobą widział jasne światło Jerusalem. Z nieba spełzały ostatnie blaski zachodu.

Wkrótce miały zapaść kompletne ciemności.

W pobliżu stał mały tłumek. Przyglądali mu się. Jedna z kobiet kogoś mu przypomniała.

Zawołał ją:

— Monika?

Zachrypnął jednak i słowo dobyło się tylko szeptem. Kobieta nie podniosła głowy.

Poczuł, że ciało jego zwisło teraz jedynie na gwoździach. Mglisto odbierał ból rozdzielający lewą rękę. Miał wrażenie, że obficie krwawi.

Jakie to wszystko dziwne, pomyślał, że właśnie mnie przyszło tutaj zawisnąć. A więc po to tu przybyłem? Zapewne to właśnie chciałem ujrzeć. Wiele za tym przemawiało. Wszystko poszło wyśmienicie, wręcz doskonale.

Ból w lewej ręce narastał.

Spojrzał w dół, na rzymskich strażników, którzy grali w kości u stóp krzyża. Uśmiechnął się. Byli całkowicie pochłonięci grą. Z wysokości nie udało mu się dostrzec znaków na kościach.

Westchnął. Poruszenie klatki piersiowej dodatkowo napięło ręce. Ból był już bardzo silny.

Skrzywił się i spróbował ulżyć sobie, opierając plecy o szorstkie drewno krzyża.

Oddychał ciężko. Ból zaczął rozprzestrzeniać się po całym ciele. Zaciśnął zęby, ale to było silniejsze. Było straszne. Zacerpnął powietrza i krzyknął. Szarpnął się.

Wszelkie światło z nieba zniknęło; ciężkie chmury zakryły gwiazdy i księżyc.

Gdzieś z dołu dolatywały jakieś szepty.

— Zdejmijcie mnie! — zawołał. — Och, proszę, zdejmijcie mnie!

Jestem tylko chłopcem.

— Odpierdol się, ty dziwko!

Cierpienie wypełniało go bez reszty. Ciężko łapał powietrze. Osuwał się, nikt jednak go nie uwolnił.

W chwilę później podniósł głowę. Ruch spowodował nawrót bólu; znów zaczął się wic na krzyżu. Z wolna zaczynał się dusić.

— Zdejmijcie mnie! Proszę! Przestańcie!

Każda cząstka jego ciała, każdy mięsień, ścięgno i kość były przepojone niemożliwym

do zniesienia bólem.

Wiedział już, że nie przetrzyma, jak pierwotnie na to liczył, aż do rana.

A o godzinie dziewiątej zawołał Chrystus donośnym głosem: Eloi, Eloi, lama sabachtani? Co się wyklada: Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścić?

(Marek XV: 34)

Glogauer zakaszłał; był to suchy, ledwo słyszalny dźwięk. Żołnierze u stóp usłyszeli go, jako że było teraz bardzo cicho.

— Dziwne — powiedział jeden. — Wczoraj jeszcze czcili go, dziś najwyraźniej pragnęli jego śmierci. Nawet ci, którzy byli mu najbliżsi.

— Z radością wyjadę wreszcie z tego kraju — odparł drugi.

Nie należy zabijać dziecka, pomyślał.

Znów usłyszał głos Moniki.

— To tylko strach i słabość prowadzą nas do tego. Męczeństwo jest próżnością.

Zakaszłał raz jeszcze i ból powrócił, tym razem jednak stępiony. Oddech stał się płytszy.

Tuż przed śmiercią przemówił raz jeszcze i aż do zniknięcia oddechu powtarzał wciąż te same słowa:

— To kłamstwo... to kłamstwo... to kłamstwo...

Później, po tym, jak jego ciało zostało skradzione przez sługi doktorów wierzących, iż może mieć ono jakieś szczególne właściwości, pojawiły się plotki, że wcale nie umarł. Ale wówczas ciało już prawie przegniło w prosektorium i wkrótce miało zostać spalone.

POSŁOWIE

Powieść ...*I UJRZELI CZŁOWIEKA*, chociaż napisana ponad dwadzieścia lat temu, jest jednym z tych tekstów, które aktualność zachowują przez długie dziesięciolecia — traktuje bowiem, jak czasem zdarza się to lepszym dziełom SF, nie tyle o technice i światach, które nadejdą, ile o człowieku i o tych jego cechach, które nie zmieniają się specjalnie przez tysiąclecia. Nawiązuje przy tym do jednego z żywotniejszych sporów kultury chrześcijańskiej, do czego nie roszczący sobie prawa do ferowania sądów ostatecznych pisarz ma całkowite prawo. Spór ten toczy się wokół pytania: Kim był Jezus Chrystus?

Stwierdziłem, że nawiązuje jedynie, bowiem odpowiedzi nie udziela, stwierdza tylko, że mógł być człowiekiem i stara się dowieść, że do wykreowania podstaw nowej religii, chrześcijaństwa, człowiek też by wystarczył i odwoływanie się do bezpośrednich interwencji sił nadprzyrodzonych nie jest konieczne. Posiłkuje się przy tym apokryficznymi wersjami *Pisma świętego* oraz odczytaniem przekazów dotyczących Jezusa poprzez symbolikę i język ówczesnego ludu Izraela, a nie zgodnie z późniejszymi interpretacjami przyjętymi przez Kościół.

Ten ostatni element zbliża powieść Moorcocka do współczesnych sporów na wspomniany temat, które to spory toczą się przede wszystkim wokół metody odczytania Nowego Testamentu, przeciwstawiając sobie dwa zasadnicze sposoby — dosłowny, zgodny z tradycją Kościoła, oraz symboliczny, według badaczy pierwotny i najwłaściwszy.

Większość wiernych oraz kapłanów od stuleci uznawała i uznaje, iż Jezus urodził się w wyniku dzieworództwa jako syn Boży, czynił cuda, zginął na krzyżu, po czym zmartwychwstał. Jednakże zarówno część teologów, jak i historyków próbuje odtworzyć historyczny obraz Jezusa oraz kontekst kulturowy i historyczny, w którym przyszło mu żyć, zaś przekazy ewangeliczne (jak określa to Charles Perrot, kierownik katedry Nowego Testamentu w paryskim Instytucie Katolickim, autor książki *Jezus i historia*) traktując jako ludowe utwory literackie.

Co bowiem wiadomo na pewno? Niewiele, i to pomimo trwającej dalej pracy kilku tysięcy teologów i historyków na całym świecie. Jak podaje wiele źródeł (m. in. książka Geralda Messadie'ego *Człowiek, który stał się Bogiem*, bestseller francuskiego rynku wydawniczego), wiemy tylko, cytując raz jeszcze Charlesa Perrota, że „Syn Człowieczy urodził się co najmniej cztery lata przed początkiem ery chrześcijańskiej, gdzieś w Palestynie”, co wiadomo stąd, iż „dwie spośród czterech Ewangelii wspominają o tym, że Jezus urodził się za panowania Heroda I Wielkiego, który zmarł w 4 roku. Wiadomo także, że Jezus żył w Kafarnaum, w pobliżu jeziora, oraz w Jerozolimie, stolicy Judei. Wiadomo też, że widywał się z Janem Chrzcicielem, prorokiem, który wynalazł oczyszczający chrzest. Że przez dwa lub trzy lata z talentem pełnił rolę kaznodziei i uzdrowiciela. Że zgromadził wokół siebie uczniów, prawdopodobnie dwunastu [...] Z całą pewnością .miał bliskie związki z faryzeuszami i z ludem. Że został aresztowany przez Rzymian jako agitator polityczno-religijny zakłócający porządek publiczny. Aresztowany na żądanie żydowskich władz Jerozolimy. Że został wydany Poncjuszowi Piłatowi, że został skazany na śmierć i ukrzyżowany w przededniu Paschy, w latach trzydziestych. I na tym się kończą pewniki ustalone przez historyków

Ale skąd to kruszenie kopii o wizerunek człowieka lub Boga, skoro i tak tradycja dawno postanowiła, iż był on synem Boga? Wśród współczesnych teologów coraz żywsze są idee reformy chrześcijaństwa, przede wszystkim katolicyzmu polegające na odrzuceniu dosłownego traktowania przekazu, bowiem, jak stwierdza Eugene Drewermann, ksiądz, teolog i psychoterapeuta z Paderbronn w Niemczech: „pogląd, że Bóg mógł uchylić prawa natury w odniesieniu do czasu i osoby Jezusa, uważam za błędny i niebezpieczny. Nie pomaga on uzasa-

dnić wiary chrześcijańskiej, lecz prowadzi do ateizmu. Gdyż cóż to by był za Bóg, który wprawdzie na swym synu demonstrowałby swą wszechmoc, poza tym jednak pozostaje bezczynny w obliczu morza ludzkich cierpień? Byłby to Bóg pozbawiony człowieczeństwa” (w wywiadzie udzielonym „Spiegłowi”). W swojej książce *Klerycy* stara się on wyłożyć prawdziwe, symboliczne znaczenie przekazów ewangelicznych, czym dostarcza niejako klucza do odczytania powieści Moorcocka. Kładzie nacisk na psychiczne cechy osoby Jezusa jako człowieka o silnej osobowości, zdolnego do pokierowania ludźmi intuicyjnego socjotechnika, który jednak nie stworzył samej religii, lecz tylko umożliwił jej rozwinięcie. Ogarnięty obsesją, zapatrzony w archetyp Jezusa Karl Glogauer zdaje się spełniać te warunki.

Postać Jezusa bez wątpienia jest postacią fascynującą. Literatura zna wiele prób odtworzenia jego życia. Sięgając tylko do najbardziej znanych dzieł z ostatnich dziesięcioleci, wymienić można *Mistrza i Małgorzatę* Michała Bułhakowa (wątek Jezusa i Piłata zekranizowany został przez Andrzeja Wajdę pod tytułem *Piłat i inni*), nawiązujące do tego arcydzieła powieści Arkadija i Borysa Strugackich *Opętanie złem albo czterdzieści lat później*, oraz polski przykład *Adam, jeden z nas* Konrada Fijałkowskiego. Filmowy utwór *Ostatnie kuszenie Chrystusa* stał się obiektem wielu ataków i sporów wynikłych zapewne z niezrozumienia kontekstu dzieła, które jest jedynie głosem w coraz żywszej dyskusji.

Sam spór o postać Jezusa Chrystusa jest zaś tylko częścią o wiele szerszej dysputy nad dogmatami chrześcijaństwa prowadzonej przede wszystkim przez historyków i teologów. Tak zatem nie jest zamiarem osób biorących udział w tej dyskusji (a Michael Moorcock, wysoko ceniony pisarz, włączył się do niej jako jeden z pierwszych) postępowanie uczuć ludzi wierzących, którzy skądinąd mogą poczuć się zagubieni wobec sądów wygłaszanych z wysokich katedr. Eugene Drewermann żywi nadzieję, że dyskusja ta doprowadzi kiedyś do zreformowania Kościoła, który, jak dotąd, odnosi się do niej nieprzychylnie. Moorcock zaś nie kieruje się żadną nadzieją, on mówi tylko: mogłoby być i tak, traktując nieszczęśliwego Karla Glogauera jako człowieka, który stara się za wszelką cenę ratować swoje człowieczeństwo.

Radostaw Kot